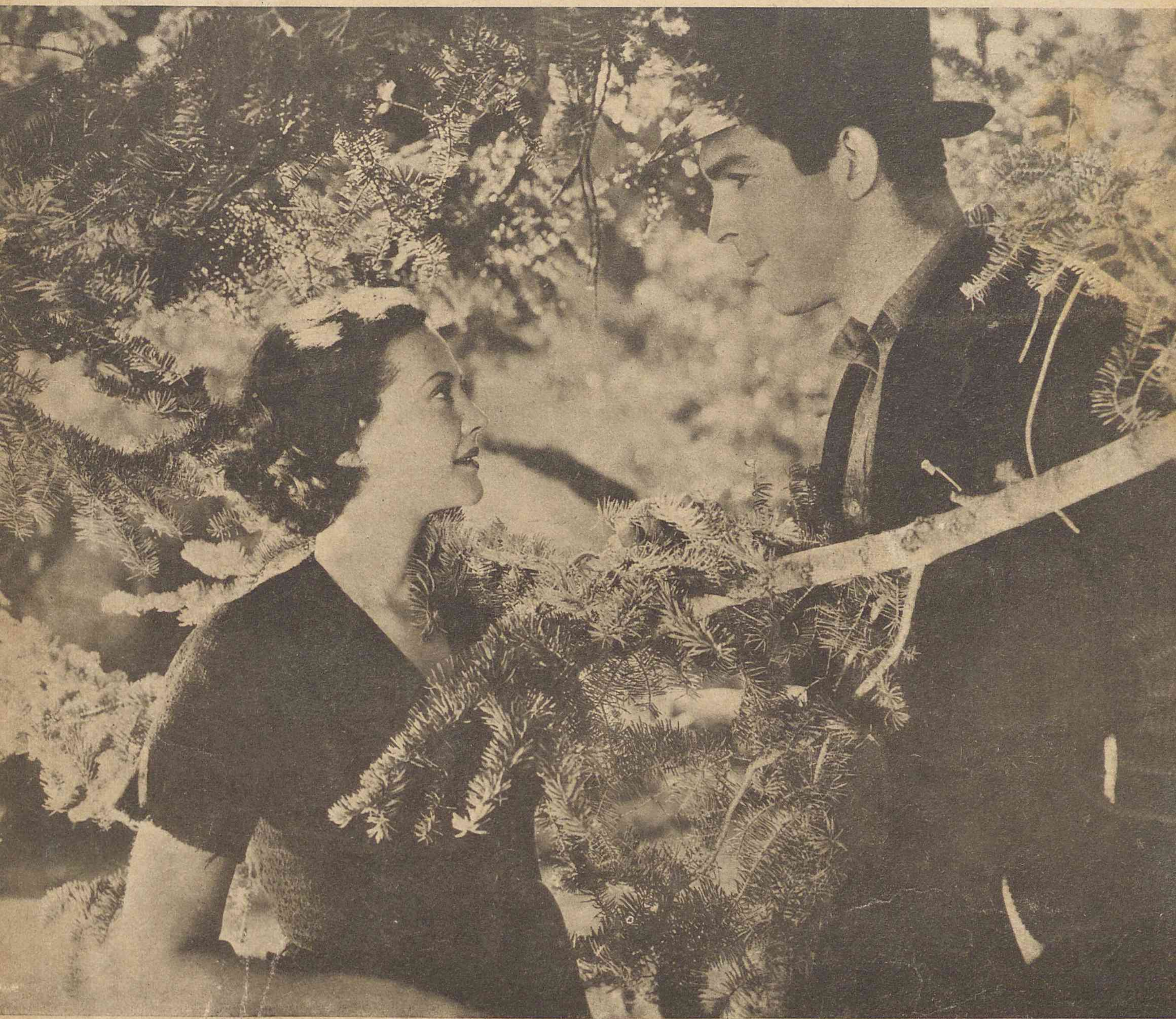
ŚWIAT

CENA 1 ZŁ.

Nr. 38 19. IX. 1936

SYLVIA SIDNEY I FRED MAC MURRAY

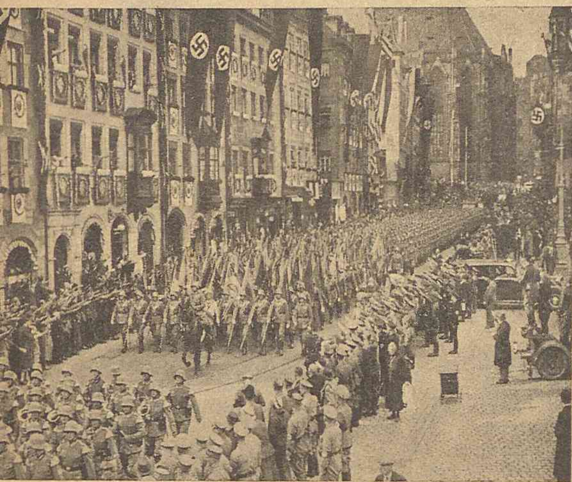
w filmie Paramountu „NIEOKIEŁZNANA". Jest to pierwszy film w kolorach naturalnych.



ŚWIAT

REDAKTOR NACZELNY LEON CHRZANOWSKI

ROK XXXI. Nr. 38 — 19. IX. 1936



Poniżej — zdjęcie z uroczystego przemarszu chorągwi niemieckich armji lądowych i morskich przez Norymbergę z okazji święta partji i przemówienia „Führera".

L. CHRZANOWSKI

KRUCJATA CZY PARAWAN?

W Norymberdze padły słowa potępienia bolszewizmu.

Kanclerz Hitler nie po raz pierwszy zresztą w sposób namiętny wyraża się o ustroju sowieckim. W ocenie swej reżymu sowieckiego nie jest zresztą odosobniony. Nie od dziś również padają pioruny narodowo - socjalistycznych Niemiec na Kreml. Ale zdaje się, że tym razem po raz pierwszy Kreml bierze je na serjo. Bo cóż znaczyły dla Kremla pioruny retoryki, kiedy jednocześnie, otrzymywał on 200 miljonów marek pożyczki (w roku 1935), lub kiedy chełpił się ustami Mołotowa, że Berlin ofiarował się z pożyczką półtora miljarda na lat dziesięć. Ta rzeka złota uśmierzała nieco obawy. Można było nawet mieć wrażenie, że Kreml stał się piorunochronem dla zbrojeniowych piorunów niemieckich. Można było, bądź co bądź, jako cel tych zbrojeń wskazywać na bolszewizm. Może to być równie dobrze krucjatą, jak i parawanem.

Reżym sowiecki, to pognębienie wszelkich wolności i praw obywatela, nie zaspakaja niczyich demokratycznych zasad ani wolnościowych wierzeń. Jest to dziś państwo urzędowego terroru.

Rozstrzeliwać trockistów potrafił i carat. Miał on jednak kule również i dla leninowców i dla socjal-rewolucjonistów i plechanowców, ale tych już zabrakło! Wraz z kadetami i innymi demokratami wystrzelał, czy wytrzebił ich jeszcze Lenin.

Świat zachodu pomimo wszystko jest jeszcze burżuazyjny i kapitalistyczny nic więc dziwnego, że w pewnych warstwach, środowiskach filipiki kanclerza przeciw bolszewizmowi mogą być uznane, jako słuszna doktryna polityczna. *Słowom jego może być przyznana racja.*

W tem zdaje się mieści się jedno z naczelnych założeń obecnej polityki hitlerowskiej.

Kanclerz Hitler chce być uznany za championa polityki i akcji antysowieckiej!

W tem założeniu, w tem pragnieniu mieści się główne niebezpieczeństwo!

Dając III-ej Rzeszy przywilej krucjaty antysowieckiej trzeba sobie powiedzieć, że byłby to nowy sposób dla Niemiec zyskania hegemonji w Europie. Impet i środki, jakie Rzesza takiej akcji mogłaby poświęcić, dałyby jej niewątpliwy prymat w interwencji. Ileż „dozbrojeń", „uzupełnień" dokonałyby legalnie w tej formie Niemcy. Oddanie im antysowieckiej inicjatywy, przy aprobacie dogmatu antysowieckiego, to oddanie się pod komendę Niemiec. Pod komendę zwiększającą się po każdym ewentualnym sukcesie.

W interesie Niemiec leży, aby zagadnienie zostało postawione tak, by Europę podzielić na dwa obozy, wypowiadające się „za" Sowietami, lub „za" Niemcami.

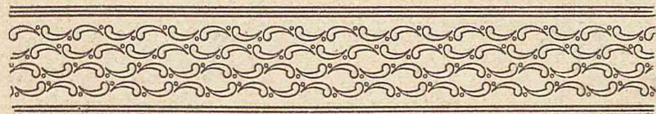
Byłoby to najniebezpieczniejsze, co w chwili obecnej można sobie wyobrazić.

O hegomonję polityczną pod takiem czy innem hasłem walczą Niemcy nie od dziś. Hasło zwalczania bolszewizmu mimo wszystko mogłoby zjednać im w wielu punktach Europy potakiwania.

Dla nas jednak sen o „żyznej Ukrainie" i „bogatym Uralu" jest więcej niż wskazówką. Do obu tych punktów niezbędnych do stworzenia raju w Niemczech trzeba... dojechać.

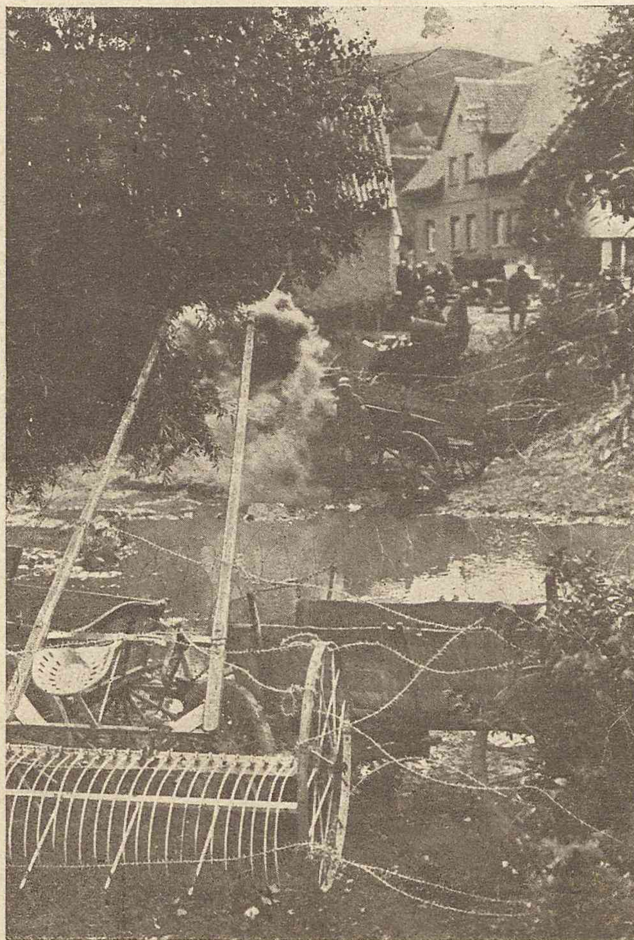
Polskę nie stać na luksus wypowiadania się „za" Sowietami, czy „za" Niemcami — z każdym z tych partnerów możemy tylko bardzo wiele stracić. Nie mamy zamiaru być niczyją stacją węzłową. Dwie obce siły mamy na obu naszych granicach — to nam wystarcza, aby wiedzieć, że każda z nich musi być więcej niż obronną.

STRZEŻONEGO PAN BÓG STRZEŻE

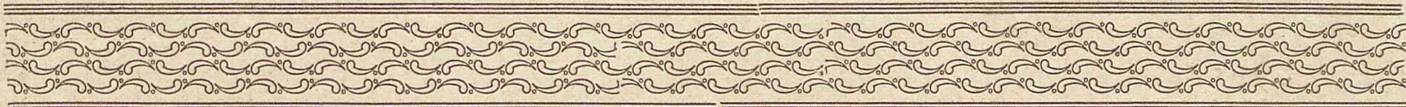


Cały świat na manewrach! Artylerja francuska podczas manewrów górskich zajmuje wyznaczone pozycje (zdjęcie poniżej).





Powyższe zdjęcie przedstawia fragment wielkich manewrów armji niemieckiej pod Hanowerem. Armja „błękitnych" niszczy zasieki z drutu kolczastego, ustawione przez armję „czerwonych".

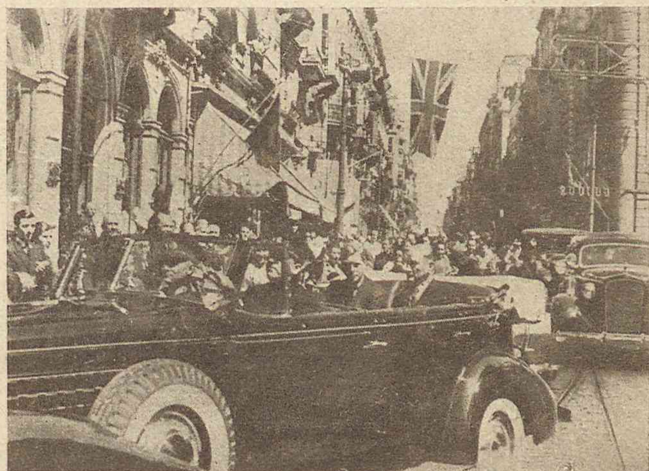




Powyżej — zdjęcie z manewrów niemieckich u stóp wschodniego Harzu. Żołnierze dywizji „Błękitnych" ustawiają działa polowe na pozycjach.

SOJUSZ — TO TAKŻE PRZEZORNOŚĆ

Król Anglji Edward VIII odwiedził w ciągu lata szereg stolic europejskich, między innemi Stambuł. Zdjęcie nasze przedstawia go w towarzystwie Kemala Paszy.



POŁÓW PEREŁ



Nieoceniony „Merkuryusz"

Mamy nareszcie w Polsce pismo, biorące oficjalnie w obronę „pokrzywdzone" Traktatem Wersalskim Niemcy. (Traktatem, po *przegranej wojnie, którą, jak* wiadomo, Niemcy *własnowolnie wywołały*).

Pismem tem jest nieoceniony — „Merkuryusz Polski".

Czytamy w numerze 28 w sprawie Gdańska i pokrzywdzonych Niemiec wywody takie:

„Człowiek dorosły patrzeć może na sprawę Gdańska tylko tak: Mafja, która układała Traktat Wersalski, zaszczepiła nad Bałtykiem zarzewie wiecznej wojny. My Polacy możemy siłą zbrojną i tylko siłą zbrojną utrzymać ten stan rzeczy, ale nie możemy być dziećmi i wymagać od Niemców aby uznali go za stan normalny."

No — nareszcie znalazło się pismo „polskie". które daje placet na żądania rewizjonistyczne Niemiec, — co więcej — ogłasza, że żądania całego narodu polskiego, aby traktat *podpisany* był traktatem *szanowanym* i *dotrzymanym* — że takie żądania są właściwie *dziecinne*.

Nieocenione placet. Nieocenione — naturalnie dla Niemiec.

Poprostu — złota warte.

Dokładność informacji

Tenże „Merkuryusz" — skoro już przy nim jesteśmy — ujawnił w numerze 21 rzecz, której naprawdę nikt dotąd nie wiedział. Bardzo kochamy Włochy— przyznajemy im bezmiar zasług artystycznych i kulturalnych w historji, a wielki wysiłek woli i zdyscyplinowane podporządkowanie rozwichrzonych indywidualności, jeżeli idzie o dzieje ostatniego pietnastolecia.

Ale nikomu nie trzeba wmawiać, że we Włoszech panuje dziś system ... liberalny.

A to nam najnaiwniej „Merkuryusz" do wierzenia podaje.

Pisze dosłownie: *„Dziś Italja jest krajem prawdziwie wolnym. Przy wjeździe niema wiz i paszportów. Antyfaszyści mogą wracać, represje już im nie grożą".*

Pewno, że mogą. Alebyśmy im tego tak bardzo nie radzili.

Wolnego, poczciwy Merkuryuszu...

Nie trzeba się tak nagwałt ośmieszać.

Figlarz

Czytamy w „Gońcu Warszawskim" takie wymowne ogłoszonko:

„SZUKASZ ZDROWIA — wstąp na chwilę na Nowy Świat Nr. 60 m. 2, do RUDZIŃSKIEGO, i wszelkie bóle, cierpienia twoje natychmiast bez lekarstw ustąpią".

Magik?

Cudotwórca?

Prosimy naszych czytelników, aby „wstąpiwszy" do tego pana na chwilę, zechcieli nam potem opisać, jak to ich cierpienia natychmiast ustąpiły. Bo strasznie jesteśmy ciekawi.

Przy okazji robimy może magikowi reklamę — naprawdę gratis i franco.

Tak z czystej miłości dla „sztuki"...

Dobre mniemanie o sobie—to połowa szczęścia

W odpowiedzi na *jednomyślne* zarzuty, stawiane po przegranej Olimpjadzie naszym kierowniczym sferom sportowym — prezes Związku Polskich Związków Sportowych, min. Ulrych, wypowiedział przez radjo obronę tych poczynań. Okazało się, że wcale nie było tak źle. Najwyższa władza polskiego sportu wygłosiła nawet na końcu przemówienia *jeneralne podziękowanie* wszystkim kierownikom i wszystkim sportowcom polskim — za *ten właśnie* udział w *tej właśnie* historycznej Olimpjadzie.

Kraj słuchał — i dębiał.

Ale przez radjo nie odpowiedział...

Minister Świętosławski niech żyje!

Nie wszyscy nasi ministrowie są popularni. Trudno — tak zwykle bywa. Jest jednak wśród nich jeden, który zyskał sobie serca miljonów obywateli. Obywateli-rodziców. Dwa ostatnie zarządzenia min. Świętosławskiego u progu nowego roku szkolnego zjednały mu odrazu miano mądrego ministra.

Pierwsze zarządzenie: poskromienie dziko grasującej epidemji „składek" w szkołach powszechnych i średnich. Stosowany był w tym celu teror moralny — nietylko moralny, bo zdarzały się wypadki wyrzucania dziecka z lekcji, gdy tych żądanych groszaków rodzice w żaden sposób wysupłać na „składki" nie mogli. Teraz — dosyć tej swawoli— rzekł minister. Zrobił to, co należało zrobić już oddawna: ściśle określił *ile* i na *jakie* instytucje użyteczności publicznej wolno jest składki *zbierać*. Zbierać — ale nie *wymuszać!*

A na żadne imieniny pana nauczyciela, ani wizytacje panów przyjezdnych, ani rocznice urzędowania pana starosty, ani inne dziury w moście — składek żądać *NIE WOLNO!*

Najwyższy był czas.

Drugie zarządzenie — również natury praktycznej. Panował w latach ostatnich istny szał zmieniania corok podręczników. Co było dwanaście miesięcy temu zupełnie dobre dla pierwszego oddziału szkoły powszechnej — to już po roku dla następnego pokolenia w tym oddziale — okazywało się „niemodne". Jak suknia albo kapelusz.

Kto tam miał w tem interes, żeby się moda tak szybko zmieniała—tego się naturalnie nie dowiemy. Ale przez analogję — właśnie z modą — wywnioskować można, że chodziło o to, aby coraz to nowy „towar" wprowadzać na rynek.

No i urwało się.

Okólnik ministra zabrania ciągłych zmian podręczników bez powodu. Podręcznik dopóty jest dobry, dopóki figuruje w spisie

podręczników dozwolonych. Rodzice uciemiężeni tym dotychczasowym srogim nieoficjalnym hałaczem — odetchnęli.

I poszedł po Polsce szept ulgi: „Ten minister — to ludzki człowiek"...

Wyrok

W wydziale karnym Sądu Okręgowego w Grudziądzu toczyła się bardzo nieprzyjemna sprawa przeciwko byłemu dyrektorowi Ubezpieczalni Społecznej w Brodnicy, Janowi Kędzierskiemu, oraz wicedyrektorowi, Romanowi Rosińskiemu. Panowie ci popełnili szereg nadużyć finansowych, polegających na tem, że kazali wypłacać sobie „zaliczki" na pensję — i nie pozwalali ich księgować. „Dyrektor" ukradł w ten sposób 6684 zł. (Kwity bowiem, które prowizorycznie wystawiał — sam potem zniszczył, aby śladu nie było).

„Wicedyrektor" sprawował się identycznie.

Sąd uznał winę obydwu: najlepszy dowód, że skazał „dyrektora" na rok więzienia i utratę praw obywatelskich na 3 lata, Wicedyrektora — na rok więzienia i utratę praw na dwa lata.

„Dobrze im tak, złodziejom" — myśli, czytając ten wyrok, uczciwy człowiek, zwłaszcza płatnik składek ubezpieczalnianych — „Dobrze im tak"...

I przerywa.

Bo oto doczytał wyrok do końca: obu skazanym *zawiesza się wykonanie wyroku na pięć lat.*

Tego już płatnik składek i uczciwy człowiek, szczerze mówiąc — nie rozumie.

Komunizm integralny we Francji

„Jakto — już" — spyta przerażony czytelnik.

Nie, narazie jeszcze nie. Jeszcze zdrowy rozum francuzów zwycięża doktrynę. A czasem zdobywa się na wymowne przedstawienie stanu rzeczy, któryby zapanował, gdyby właśnie...

„Paris-Soir" obliczył, ileby wypadło na każdego francuza, gdyby tak idealnie podzielić cały majątek Francji między jej mieszkańców. Kapitały wszystkich towarzystw akcyjnych we Francji wynoszą 36 miljardów franków. Gdyby to podzielić, wypadłoby na każdego francuza aż... *900 franków,* czyli około... *300 złotych majątku.* Dochód zaś roczny od tych „kapitałów" wyniósłby na głowę — 60 franków, czyli *20 złotych,* a zatem miesięcznie około... *półtora złotego.*

W najbogatszym kraju Europy, w słynnej z zamożności i oszczędności Francji — podzielenie dóbr dałoby, jak widzimy, w rezultacie, czterdzieści miljonów nędzarzy, z *których żaden nie mógłby dać pracy drugiemu.*

Naszym rodzimym przysięgłym komunistom, z zapałem rozdającym cudze dobro „po równemu", pozostawiamy trud obliczenia, *jaki ułamek grosza* wypadłby w Polsce miesięcznie na każdego polaka, jeżeliby ci „zbawcy ludzkości" zarządzili nam tutaj taki integralny „raj równości".

Autentyczne „tarzany"

Piękna jest nasza cywilizacja— maszyna jest jej bóstwem — a człowiek nowoczesny jej prorokiem. Ale niektórzy mają tych uroków po uszy. I tak się jakoś złożyło, że w kraju wysokiej kultury, komfortu, i nieposzlakowanej elegancji — w Anglji — grupa ludzi poszła sobie w las, porzuciwszy rozkosze miasta i jego wyrafinowanie. Żyją jak dzicy, w zbudowanych własnoręcznie chałupkach. Zarzucili wykwint stroju i odziewają się we własnoręcznie tkane grube płótno i wełnę. Orzą ziemię, ciężko pracują fizycznie, słuchają śpiewu ptaków, — nie słuchają radja...

I są szczęśliwi.

Niedaleko od cywilizacji — w hrabstwie Northampshire.

Nie żadne społeczne wyrzutki. Przeciwnie — ludzie, którzy „stali na świeczniku" — i całkiem dobrowolnie z niego zeszli.



Sianokosy... na chodnikach

W „Kurjerze Porannym" znaleźliśmy zdjęcie, przedstawiające ogrodnika plantacji miejskich w Warszawie przy pracy. Podpis brzmi: *Stolica przechodzi okres sianokosu. W Alejach Jerozolimskich robotnik plantacji miejskich sieje wśród przechodniów popłoch, wymachując wyostrzoną kosą".*

No pewno... Któżby chciał się pokaleczyć o rozmachaną kosę?

„Panie nurek — czego się pan znów czepia? Trawa jest — trzeba ją skosić. Tak jest na całym świecie" — rzeknie zrównoważony czytelnik.

— No nie. Nie na całym świecie — odpowiem. Bo w miastach, na chodnikach, kosi się trawę w Europie małemi ręcznemi *kosiarkami* trawnikowemi, które wyglądają jak małe taczki i niczem nikomu nie grożą.

„Warszawa jest za biedna — Warszawy na to nie stać" — usłyszę pewno odpowiedź.

— E, proszę państwa — te kosiarki kosztują grosze. Nie przesadzajmy... Oszczędźmy to i owo na luksusach restauracji Pałacu Blanka — to na kosiarki wystarczy aż nadto.

(Zaznacza się gwoli jasności, że „Uparty nurek" fabryki maszyn rolniczych nie posiada).

Zapóźno

Wchodzi do księgarni znany z szerokiego życia bankier i prosi o najnowsze wydanie kodeksu karnego.

— Niestety — odpowiada pomocnik księgarski w tej chwili nie posiadamy egzemplarza na składzie, ale za godzinę mogę panu dyrektorowi przysłać do domu.

— Tylko napewno, bo mi jest bardzo potrzebny!

— Z pewnością...

Po godzinie goniec księgarni wraca z kodeksem.

— Jak nie zastałeś bankiera, trzeba było kodeks zostawić — poucza kierownik gońca — po pieniądze poszedłbyś później.

— Kiedy zapóźno.

— Jakto zapóźno? Niema godziny, jak był u nas.

— Tak ale ledwie wrócił do domu, zaraz został aresztowany.

Uparty nurek.

Z. NORBLIN-CHRZANOWSKA

SZTUKA I BARBARZYŃSTWO

To, co wyprawia obecnie nieprzytomny motłoch ze starą, piękną, dostojną sztuką w Hiszpanji — dowodzi niezbicie, że widocznie nigdzie, nawet w kraju o tradycjach artystycznych wspaniałych, tłum sztuki nie rozumie, nie ceni, nie potrzebuje. Przeciwnie: podbechtana czerń idzie rozwalać rzeźby w kościołach z tym samym zapałem, z jakim morduje księży i zakonnice. Przesłanki są te same: „precz z religją, precz z zabobonem!".

Obłąkani barbarzyńcy nie szukają w sztuce wzruszenia i piękna. Szukają tylko — anegdoty. A znalazłszy anegdotę, którą odrzucili — niszczą wraz z nią piękno, tępią dobytek stuleci równie beztrosko, jak w Sowietach tępiono nielicznych inteligentów. Tam było: „dołoj gramotnyje!"— w Hiszpanji zaś jest dziś: „precz z Chrystusem na obrazie!" — choćby obraz był arcydziełem.

Analogje frapujące — ale wcale nie dziwne. Ci sami menerzy kierowali motłochem i tu i tam.

Alkazar leży w gruzach. Setki kościołów płoną. Tysiące dzieł sztuki zniszczono najbezmyślniej. Dziś niebezpieczeństwo zagraża bezpośrednio stolicy. Jutro bomby z samolotów albo pociski armatnie grzmieć mogą nad ulicami Madrytu. Skarby sztuki tego miasta są zagrożone. Zagrożone być mogą lada dzień bezcenne zbiory jednego z najpiękniejszych muzeów świata — *Museo del Prado.*

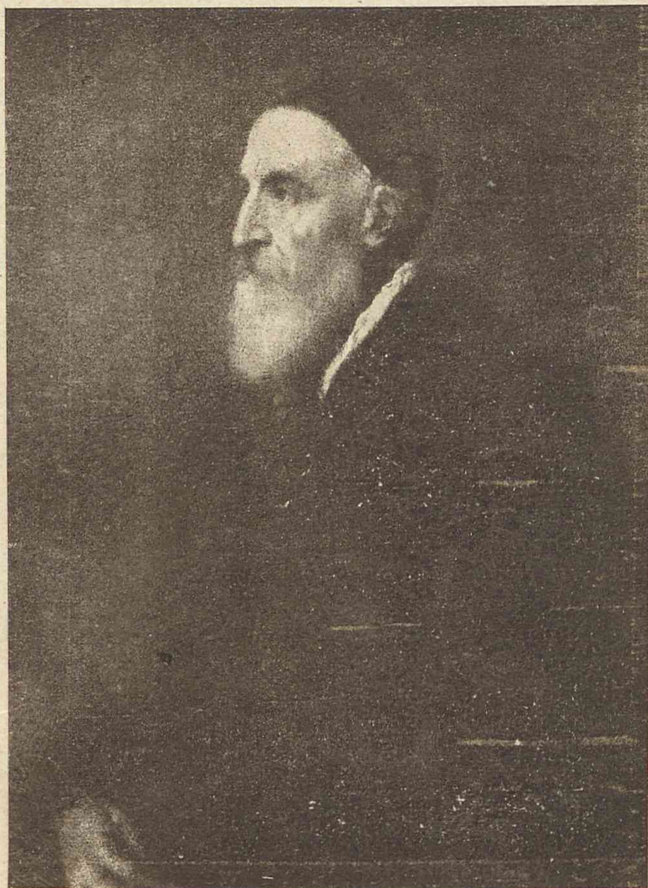
Dobrze naogół znamy paryski *Luwr,* jako tako londyńską *National Gallery,* rzymskie zbiory *Watykanu,* florenckie *Pitti* czy *Uffizi.* Znacznie mniej wiemy o *Muzeum Prado,* jako że leży cokolwiek „z drogi". A jest to muzeum, które wartością swych zbiorów przewyższa Luwr, i tylko z National Gallery w dziale malarstwa może być porównywane.

Przedewszystkiem stwierdzić należy, że nie zna sztuki hiszpańskiej ten, kto nie widział Prado. Velazquez, Goya, el Greco, Murillo, Ribera, i wszyscy wybitni malarze hiszpańscy reprezentowani są tu przez dzieła często najlepsze, a tak liczne, jak w żadnem muzeum na świecie. Sztuka włoska — specjalnie Tycjan, sztuka flamandzka — z bogatą kolekcją dzieł Rubensa i van Dycka, sztuka niemiecka z arcydziełami Dürera, sztuka francuska ze świetnemi dziełami Poussina i Claude Lorrain, dopełniają tej wspaniałej kolekcji, kompletowanej całemi wiekami przez ludzi, którzy malarstwo kochali, znali się na niem — i mieli dla zadowolenia swej pasji nieograniczone środki. Ci ludzie — to byli królowie hiszpańscy.

Namiętność kolekcjonerska hiszpańskich monarchów trwała lat kilkaset. Już Ferdynand i Izabella zapoczątkowali zbiory



Tycjan — Grzech pierworodny
(Szkoła wenecka wiek XVI)



Tycjan — Autoportret
(Museo del Prado)

Prado — przyczem interesowali się specjalnie sztuką niderlandzką, i niejeden jej cenny okaz do dnia dzisiejszego zdobi ściany muzeum.

Karol V znany jest nawet dzieciom szkoły średniej ze swych upodobań artystycznych — a przyjaźń jego dla Tycjana — (no wiadomo, podnosił mu pędzel) — stawiają dziś jeszcze artyści za przykład miłościwie nam panującym monarchom i prezydentom. Przyjaźń Karola V wyrażała się też oczywiście niezliczonemi zakupami dzieł Tycjana dla kolekcji monarszej — a rezultat jest taki, że Tycjana poznać można naprawdę tylko w dwuch miastach: w rodzinnej jego Wenecji — i w madryckiem Prado.

Nawiasem mówiąc — jak przyjaciel-monarcha przywiązany był do twórczości Tycjana, dowodzi fakt, że wyjeżdżając do swej samotni w S. Yuste zabrał, oprócz swej ulubionej kolekcji zegarów, wśród nielicznych obrazów aż pięć wielkich dzieł Tycjana. Tycjan też cieszył się tak wielkiem zaufaniem Karola V, że polecane miewał niejednokrotnie nabywanie dla kolekcji monarszej prac innych artystów we Włoszech.



Paolo Caliari, zw. Veronese. Wenus i Adonis
(Szkoła wenecka, wiek XVI) *(Museo del Prado)*

Druga połowa XVI wieku — panowanie Filipa II — upływa również pod znakiem uzupełniania zbiorów królewskich. Pracuje dla króla nadal Tycjan, który dostarcza na zamówienie królewskie w tym czasie kilkanaście dzieł z pośród najlepszych, jakie wogóle namalował: „Grzech pierworodny", „Złożenie do grobu", „Autoportret" i wiele innych.

Filip III — (pierwsze dwudziestolecie wieku XVII) — nie wzbogacił zbiorów królewskich w tej mierze, co jego poprzednicy. Zato Filip IV w ciągu swych czterdziestoletnich rządów okazał się jednym z największych miłośników sztuki, a napewno największym jej znawcą wśród monarchów hiszpańskich. Wszystkie dzieła Velazqueza w muzeum Prado nabyte były przez Filipa IV, który był rzeczywiście protektorem i przyjacielem mistrza. Pasja kolekcjonerska Filipa IV znana była w całej Europie — to też niejednokrotnie ofiarowywano królowi bardzo cenne dzieła sztuki z pobudek bynajmniej nie bezinteresownych, chcąc sobie zjednać jego łaski. Gdy się Filipowi jakiś obraz podobał — umiał on w sposób zręczny tak pokierować sprawą, że wkońcu upragnione dzieło sztuki powiększało zbiory królewskie, a „szczęśliwy ofiarodawca" uważał to sobie jeszcze za zaszczyt. Grand hiszpański Medina de las Torres ofiarował w ten sposób swemu monarsze już wtedy bezcenną „Madonnę z rybą" Rafaela, i kilka obrazów Correggia i Bassano. Markiz de Leganes powiększył zbiory królewskie darem dzieł Tintoretta i Tycjana. Kardynał Ludovisi ofiarował królowi Tycjanowską „Bachanalję" i „Zabawę dziecięcą", które malowane były dla Alfonsa d'Este. Kardynałowie i grandowie, książęta i królowie, zwykli śmiertelnicy, a nawet klasztory darami swemi „spieszyli wzbogacić kolekcję monarszą". Velazquez z polecenia króla niejednokrotnie jeździł do Włoch, gdzie, jak Tycjan dla Karola V, nabywał dla Filipa IV wybitne dzieła sztuki.

Kupowano je już wtedy nietylko wprost od artystów, ale i z drugiej ręki, od królów i kolekcjonerów, na licytacjach — czasem w okolicznościach dramatycznych. Po ścięciu króla angielskiego Karola I odbyła się licytacja jego bardzo cennych zbiorów — (był zapalonym kolekcjonerem, tak jak Filip IV) — i wówczas ambasador hiszpański nabył dla swego monarchy słynną „Wenus słuchającą gry na organach" Tycjana, oraz liczne dzieła Veronesa, Andrea del Sarto, Palmy młodszego, i Mantegni. Kiedy się nadarzała sposobność, kupowało się ze spuścizny po słynnych artystach, np. ze zbiorów Rubensa nabył Filip IV „Zaręczyny" Lorenzo Lotto.



Diego Velazquez — Portret Filipa IV
(Szkoła hiszpańska w. XVII)
(Museo del Prado)

Diego Velazquez — Portret błazna nadwornego Pablillos de Valladolid





Diego Velazquez — Portret Infanta Don Baltazara Carlosa
(Museo del Prado)

Diego Velazquez — Ezop



Rubens był narówni z Velazquezem wielką artystyczną namiętnością Filipa IV, który zgromadził ogromną ilość dzieł już wówczas niezwykle wysoko cenionego mistrza. Artysta znalazł się w roku 1628 w Madrycie w misji dyplomatycznej i rozwinął niezwykle płodną działalność twórczą. Kilkadziesiąt dzieł Rubensa, które zdobią muzeum Prado — prawie wszystkie nabyte zostały przez Filipa IV. Należą tu najwybitniejsze jego dzieła, jak „Trzy gracje", „Sąd Parysa", „Nimfy i satyry" i wiele innych. Wspaniały „Portret królowej Marji Medici" nabył Filip IV już po śmierci artysty z jego spuścizny. Muzeum Prado posiada dzięki zamiłowaniu Filipa IV około stu dzieł Rubensa, co stanowi największy zbiór obok Monachijskiej Pinakoteki.

Filip IV nie zasklepiał się w jednostronności. Obok zmysłowej sztuki Rubensa uznawał i zbierał dzieła El Greco, tak bardzo różne swym ascetyzmem od rubensowskiej obfitości. Niemal wszystkie obrazy Greco, jakie muzeum Prado posiada, nabyte zostały właśnie przez Filipa IV.

Velazquez — to duma muzeum Prado — mistrz nad mistrze. Velazquez, malarz ulubiony, „malarz nadworny" Filipa IV. Całe dzieje artystycznej działalności Velazqueza związane są z panowaniem Filipa IV. I tylko w Prado można naprawdę przestudjować wspaniałe jego malarstwo. Paręset zgromadzonych dzieł Velazqueza — już to samo stawiałoby Filipa IV w rzędzie najwybitniejszych mecenasów sztuki wszystkich czasów.

Bardzo również bogata jest w Prado kolekcja prac Ribery, zwanego „Spagnoletto". Przeszło 50 obrazów daje możność głębszego zaznajomienia się z indywidualnością tego artysty.

Filip V — pierwsza połowa wieku XVIII — znów wielki amator i znawca sztuki, interesował się przeważnie malarstwem francuskiem, zaś żona jego, włoszka, Izabella Farnese — sztuką flamandzką, włoską i holenderską. Znów „złote czasy" dla przyszłego Prado — znów zbiory królewskie wzbogacają się o szereg dzieł pierwszorzędnych. Ze sztuki hiszpańskiej upodobała sobie ta królewska para specjalnie Murilla — i większość jego najlepszych dzieł nabyto wówczas do królewskiej kolekcji.



Domenico Theotokopuli zwany El Greco

(Szkoła hiszpańska, wiek XVI i XVII)

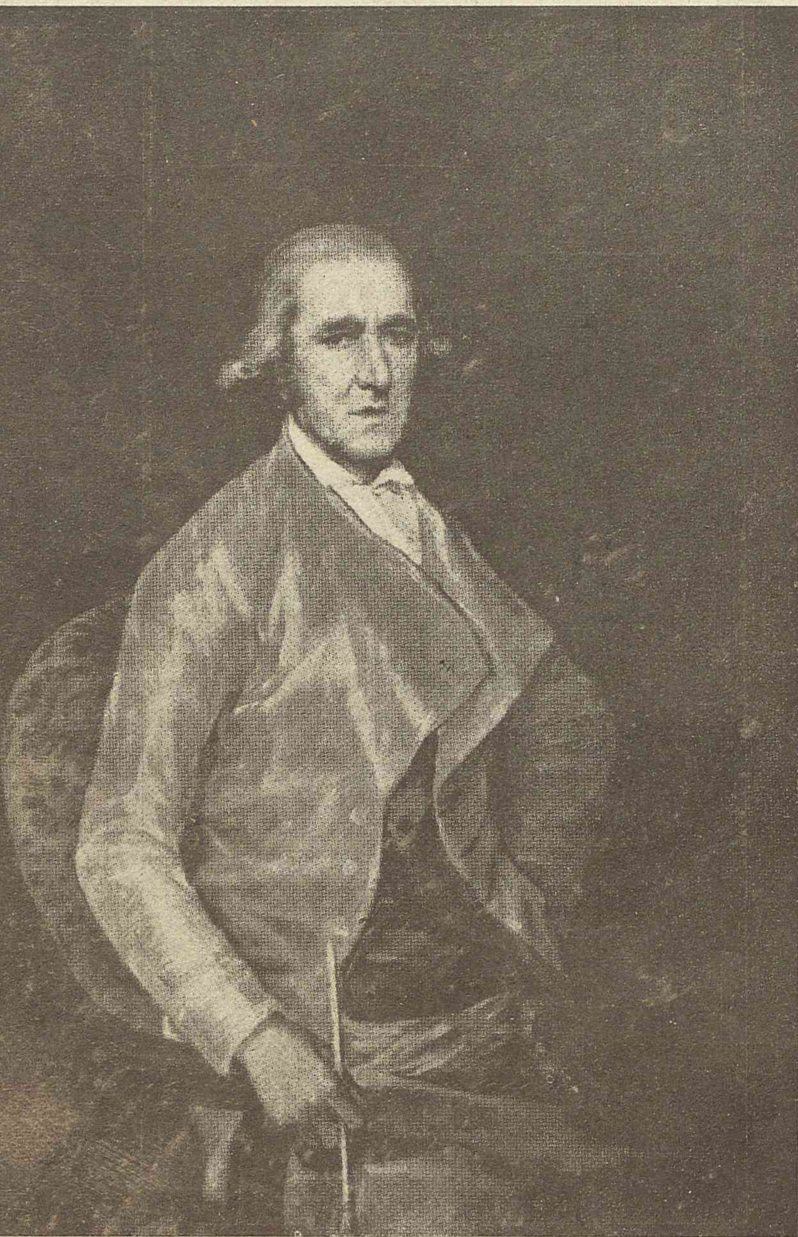
Ukrzyżowanie

(Museo del Prado)



El Greco
Portret męski

(Museo del Prado)



Francisco de Goya — Portret malarza Bayeu. (Szkoła hiszpańska, wiek XVIII i XIX).



Vincente Lopez — Portret Goyi. (Szkoła hiszpańska, pocz. w. XIX).

przecież jeszcze wcale nie istniało. Istniały tylko ciągle wzbogacane kolekcje królewskie, ale bez scentralizowanego pomieszczenia, które mają obecnie w Prado. Muzeum jako takie powstało niewiele więcej, jak sto lat temu. Otwarcia dokonano w roku 1819 za panowania Ferdynan-

Wśród następców tych królów wyróżnia się jako zbieracz i miłośnik sztuki Karol IV (koniec XVIII wieku). Na jego to panowanie przypada twórczość Goyi — i król rozmiłowany w tych fantastycznych wizjach malarskich, nabywa około setki jego obrazów i przeszło sto rysunków. Dzieła te stanowią do dnia dzisiejszego ozdobę muzeum del Prado.

Mówimy ciągle o Muzeum del Prado — a ono w czasach tych wotnie na muzeum nauk przyrodniczych. Zebrane w jednym gmachu wspaniałe zbiory królewskie, dotychczas rozproszone po różnych pałacach — stanowią od stu lat najpiękniejsze i naj-

Francisco de Goya — Bójka przed karczmą.



da VII. z inicjatywy drugiej jego żony, Donny Isabel Braganza. Zużytkowano na ten cel gmach postawiony w drugiej połowie wieku XVIII i przeznaczony piercenniejsze obok londyńskiej National Gallery muzeum świata.

Nie należy przypuszczać, że ostatnie stulecie zahamowało rozwój tej wspaniałej kolekcji. Przeszło w tym czasie do Prado mnóstwo dzieł niezmiernie cennych z klasztorów, których większość zamknięto akurat sto lat temu. Niezmiernie liczne dary powiększają ciągle jeszcze, aż do dni ostatnich, te zbiory, które dziś ilościowo przekraczają 2500 pierwszorzędnych dzieł malarskich. Rozrastanie się kolekcji zmusiło przed paru laty kierowników muzeum Prado do rozbudowania kompleksu gmachów przez wzniesienie nowego skrzydła. Dalsze rozszerzanie muzeum było i nadal zamierzane.

Ale przyszła krwawa wojna



Antonis Mor (szkoła holenderska w. XVI)
Portret żony.

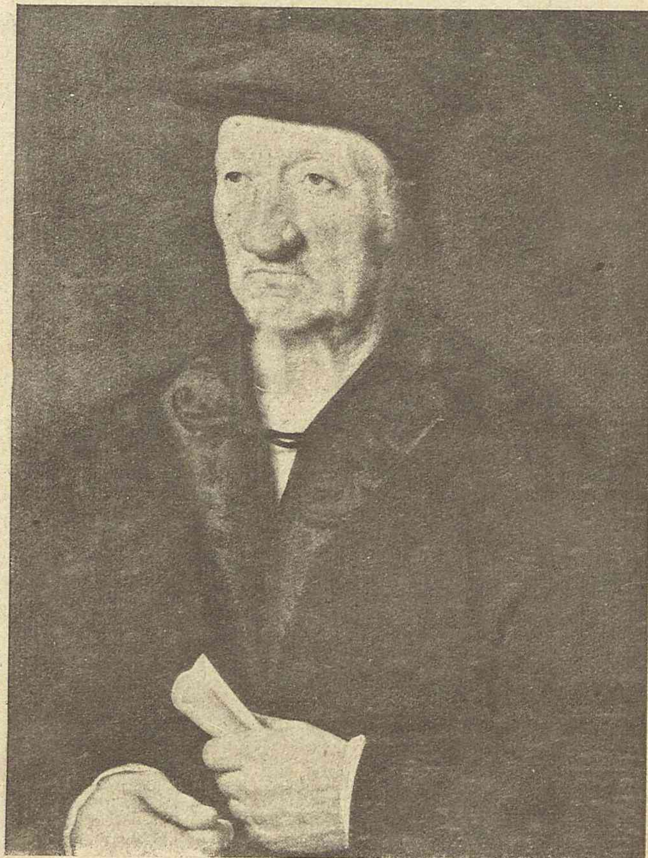


Van Dyck (szkoła flamandzka w. XVII)
Portret damy.

domową. Wojna, w której padają ranni i trupy — nietylko na frontach, wśród walczących. Wojna, w której ofiarami są i kobiety i dzieci. Wojna barbarzyństwa z kulturą — w której padają ofiarą bezcenne skarby architektury, rzeźby i malarstwa. W tej wojnie drży katedra w Kordobie, zagrożone jest całe Toledo, wraz z arcydziełem Greco — „Pogrzebem hrabiego Orgaza". W tej wojnie niema świętości — w kościołach biwakuje kawalerja, ołtarzowemi malowidłami podpala się żołnierskie kotły obozowe, a wywleczoną z jakiegoś klasztoru średniowieczną figurkę Dzieciątka przybiera się szyderczo w jaskrawy łachman — i stawia na skrzyżowaniu szos, za-



A. Dürer (szkoła niemiecka w. XV). Autoportret z r. 1498.



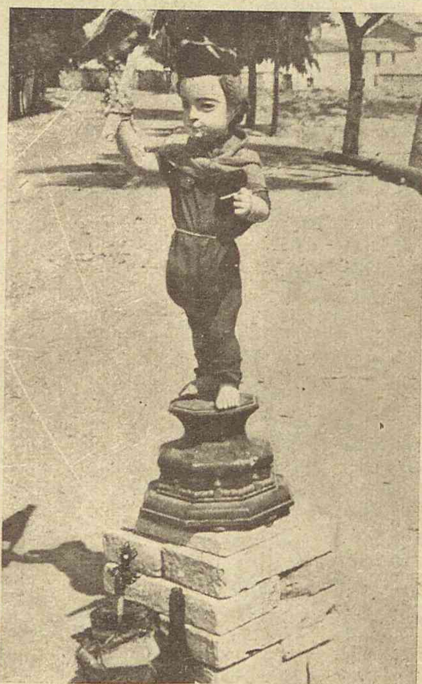
„Mistrz śmierci Panny Marji" (szkoła flamandzka w. XVI). — Portret męski.

miast kierującego ruchem ulicznym policjanta!

Taka jest ta straszna wojna domowa. Jeżeli nie chcą się do niej mieszać narody i państwa, *„aby nie wkraczać w dziedzinę spraw wewnętrznych Hiszpanji"* — jeżeli Liga Narodów nie zrobi, jak można zgóry przewidzieć, ani kroku, aby powstrzymać rozlew krwi — to przecież artyści i miłośnicy sztuki wszystkich krajów cywilizowanych podnieść powinni głos najbardziej autorytatywny w obronie skarbów sztuki, które giną bezpowrotnie.

Chcą się hiszpanie — naród wielki i dumny — w przystępie obłędu zbiorowego mordować między sobą... Cóż robić! Można tylko się pocieszać, że za lat kilka kobiety Hiszpanji urodzą tylu nowych obywateli, ilu ich zginie w tej rzezi.

Ale pałaców i kościołów zrównanych z ziemią — nikt nie odrodzi. Ale spalonych dzieł rzeźby i malarstwa nikt nie wskrzesi.



Barbarzyństwo motłochu: wywleczona z ołtarza średniowieczna rzeźba, przedstawiająca małego Chrystusa— ustawiona obecnie na szosie, jako „kierownik ruchu".

I te straty — to już nie są tylko „sprawy wewnętrzne" Hiszpanji. Jest to zamach na bezcenny wkład sztuki, który wniosła do dorobku ludzkości stara i wspaniała kultura hiszpańska. Te skarby sztuki stały się własnością całego świata. Dlatego cały świat kulturalny powinien zaprotestować w tej sprawie.

W przeddzień możliwego bombardowania Madrytu — kiedy, być może, niszczycielskie pociski spadną na Muzeum del Prado — wołać trzeba wielkim głosem, że Velazquez, Greco i Goya, Rubens i Tycjan, van Dyck i Veronese i wszyscy mistrze, których dzieła tam zgromadzono — należą do nas wszystkich. I że to wszystko nie może uledz zniszczeniu.

Czy jednak głos artystów i miłośników sztuki może mieć jakikolwiek rezonans w zgiełku walki, wśród szczęku broni, — a zwłaszcza wśród wybuchających petard nieodpowiedzialnego, demagogicznego frazesu?

Z żałobnej karty



Ś. P. Ks. WACŁAW WYRZYKOWSKI

Dn. 25 sierpnia r. b. zmarł w Warszawie, Ks. Wacław Wyrzykowski Prałat domowy Jego Świątobliwości, Prałat Scholastyk Kapituły Łódzkiej. Sędzia Prosynodalny. Proboszcz kościoła Katedralnego św. Stanisława w Łodzi, Dziekan Łódzki. Urodzony w r. 1876 po ukończeniu szkół średnich w Zakładzie O. O. Jezuitów w Chyrowie, wstąpił do Seminarjum Duchownego w Warszawie, które ukończył i otrzymał święcenia kapłańskie w r. 1899.

W r. 1904, jako młody wikarjusz łódzki, zgłasza się podczas wojny rosyjsko - japońskiej na kapelana ochotnika, by nieść pomoc duchową żołnierzom katolikom, służącym w armji rosyjskiej. Obowiązki te Ks. W. Wyrzykowski pełnił z wielkim poświęceniem, narażając swe życie i z uszczerbkiem dla zdrowia.

Po wojnie powraca do Łodzi jako rektor kościoła św. Anny i prefekt 8-io klasowego gimnazjum T. Niklewskiego. W tym czasie rozwinął bardzo szeroką działalność wśród robotników chrześcijan, będąc na terenie Łodzi jednym z pierwszych pionierów ruchu spółdzielczego. W r. 1909 zostaje mianowany pierwszym proboszczem nowo erygowanej parafji św. Anny i całe już swe życie z krótką przerwą poświęca na różnych stanowiskach w umiłowanej Łodzi.

Po utworzeniu Djecezji Łódzkiej ś. p. ks. Wyrzykowski mianowany jest sędzią prosynodalnym Sądu Biskupiego Łódzkiego, a następnie wyniesiony do godności kanonika Kapituły Łódzkiej i proboszcza parafji Katedralnej św. Stanisława Kostki. W sierpniu 1922 r. otrzymał ś. p. ks. Wyrzykowski godność prałata domowego Jego Świątobliwości Papieża Piusa XI.

Za trudy i prace około Katedry ś. p. ks. Wyrzykowski został w r. 1933 posunięty do godności Prałata Scholastyka Kapituły Katedralnej Łódzkiej.

Odszedł kapłan gorliwy, świetny mówca, człowiek niezwykle prawy i szlachetny, uczynny i uprzejmy dla wszystkich. Pracę i mienie swoje chętnie ofiarowywał na potrzeby bliźnim. Śmierć tego zasłużonego kapłana wywołała w Łodzi żal powszechny.

PARĘ SŁÓW O REWERANSACH

(Czytelniczki nasze piszą...).

Bardzo lubimy czytelników „Świata". Jeszcze bardziej kochamy prenumeratorów. A najbardziej takich, którzy są wobec naszych poczynań w „stosunku czynnym", powiedzmy. Czyli — nieobojętnych. Takich, którzy do nas piszą, aby nam zakomunikować, co się im w piśmie podoba, a także czasem, co się nie podoba. Słowa uznania i słowa rzeczowej krytyki — to dla redakcji pisma najcenniejszy kontakt z czytelnikiem. Bo wiadomo, że to, co piszemy, znalazło oddźwięk.

Wśród czytelników i czytelniczek „czynnych" mamy kilka osób, poruszających w listach do redakcji tematy nietylko związane z artykułami, które już się ukazały. Piszą do nas często i o sprawach, które sami uważają za ważne lub aktualne, albo o takich, które ich bolą, czy cieszą, życie im umilają, albo sprawiają trudności. W tych dniach otrzymaliśmy właśnie od jednej z naszych najbardziej „czynnych" czytelniczek list, poświęcony sprawie, która, jak nam się zdaje — jest właściwie aktualna na przestrzeni całej Polski. Sprawa ta niejednej pani domu przysporzyła kłopotu — dlatego podamy tu niemal bez zmian list naszej czytelniczki, prosząc inne panie — a i panów też, jeśli zechcą — o wypowiedzenie się na ten temat.

Czytelniczka nasza pisze:

„Przeczytałam niedawno doskonałą książkę p. Kiewnarskiej (Well) o „Dobrem wychowaniu na codzień". Jest tam nader trafna uwaga, która jakże często mi się nasuwa, odkąd mieszkam w innym kraju, choć nie zagranicą. Mianowicie twierdzi Well, że w naszym tak przedziwnie zlepionym kraju trzebaby naprzód ustalić, *jakie* są przepisy ogólnie przyjęte w stosunkach między ludźmi. Bo *savoir-vivre* na kresach jest zupełnie inny, niż w Warszawie — a ten znów jest inny niż w byłej dzielnicy pruskiej. Co w jednej dzielnicy obowiązuje, to w drugiej może być nawet nieprzyzwoite albo śmieszne.

Święte słowa — tylko jak taki dylemat rozwiązać, to zn. co przyjąć za zasadę, gdy się jest w tej osobliwej sytuacji, że się mieszka w innej dzielnicy, niż się urodziło i wychowało? Możnaby rzec: stosować się do zwyczajów tej dzielnicy, w której się zamieszkało. Jakoś niezawsze to przychodzi łatwo. Ja naprzykład, jako warszawianka zamieszkała obecnie w województwie poznańskiem, uważam kulturę towarzyską b. Królestwa (która jest właściwie kulturą francuską) za wyższą od obyczajów Wielkopolski (mocno zabarwionych kulturą niemiecką, gatunkowo niższą). Słowem — uważam moje obyczaje za lepsze od tutejszych. I te moje, od dzieciństwa wpojono formy towarzyskie, stosuję. Oczywiście jednak, dobre to, póki jestem na gruncie moim własnym — ale gdy jestem na cudzym, muszę się asymilować. Jak to pogodzić — oto dylemat. Bo ostatecznie zawsze musi nastąpić jakiś konflikt.

Od abstrakcji atoli do konkretu czas przejść.

Więc np. dwa szkopuły, które mi sprawiają najwięcej kłopotu, to jest:

1) Dziękowanie przy skończonym obiedzie.

2) Préséances przy stole dla pań-gości.

Zdaje mi się, że zwyczaj dziękowania wszystkich sobie wzajemnie przy wstawaniu od stołu jest jakąś staropolszczyzną. W każdym razie jest szalenie męczący i niewygodny. Ludzie są zagadani, palą papierosy, mają dostać czarnej kawy w ogrodzie czy bibljotece — robią więc „powstanie od stołu", aby przejść jak najwygodniej — masz! przystają i całują się wzajemnie po rękach. Czy to naprawdę jest obowiązujące? Że zagranicą nie, to wiem dobrze. Ale jak jest teraz w Warszawie? Mówię o domach czysto-polskich.

Jeszcze gorsza jest ta druga cegła: pierwsze miejsce dla dam (przy stole). Wiadomo — po prawej ręce pana domu. Bo mojego miejsca stałego przy stole nie uważam za pierwsze, tylko za stałe miejsce gospodyni. Chyba mam rację?

Tymczasem co mnie tu spotyka za niespodzianka: przy składaniu pierwszych wizyt w sąsiedztwie — (nasza czytelniczka mieszka na wsi, przyp. nasz) — nie na pierwszem miejscu gości mnie sadzają, ale właśnie *na miejscu pani domu!* Protestowałam, ile można było bez wzniecenia niepokoju — ale to się na nic nie zdało. Czułam zresztą, że właśnie chcą pokazać mnie — „cudzoziemce" — jak to Poznańskie rozumie gościnność. Cóż miałam robić...

Oczywiście — to ma konsekwencje. Te panie, które mnie w ten sposób sadzały u siebie, musiałam taksamo przyjmować, gdy przyjechały do mnie. Czyniąc zaś tak z niemi, musiałam to czynić i z innemi. Ale uważam to za nonsens: bo co naprzykład mam uczynić wtedy, gdy „pań-gości" jest na przyjęciu kilka? Którą wtedy wyróżnić wyjątkowo, sadzając ją na mojem miejscu? Zarzuciłam zatem ten system — ale to nie jest rozwiązanie. Bo w porównaniu z tamtą chińszczyzną mój system wydaje się niegościnnością czy niegrzecznością.

Przypominam sobie z dzieciństwa, że w niektórych dworach na Białorusi sadzano „goście" właśnie tak, jak tutaj — na miejscu gospodyni. To samo pisze Mickiewicz, z tą jeszcze charakterystyczną różnicą, że tam pierwsze miejsce zajmuje nie pierwsza *dama* z gości — tylko pierwszy *dygnitarz* (podkomorzy). W porównaniu z tem tutejszy obyczaj byłby już dużym postępem. Ale chciałabym wiedzieć poprostu przez porównanie, czem on właściwie jest: anachronizmem, prowincjonalizmem dzielnicowym, czy może — rustycyzmem? (proszę mi wybaczyć ten neologizm).

Bo oczywiście nie chcę nikogo obrażać — a właściwie nie chcę popełniać grzechu niegościnności — a z drugiej strony nie wiem poco miałabym wbrew własnym przyzwyczajeniom normalnym trzymać się jakiejś zaściankowej tradycji. A moins żeby była rzeczywiście nieodłączna od tradycji gościnności wiejskiej?

Więc jakby należało tę sprawę rozwiązać racjonalnie — żeby było i dość wygodnie według nowoczesnych wymagań, — i dość uprzejmie, aby nikt się nie czuł urażony? Może która z czytelniczek „Świata", mająca takie same jak ja kłopoty i wątpliwości — zechciałaby się podzielić swem doświadczeniem? Ciekawam, jak sobie radzą inne panie domu w mojem położeniu — a jest ich przecież legjon dzisiaj, gdy mnóstwo Polaków z różnych dzielnic zamieszkuje inne strony, niż własne „strony rodzinne".

Może te sprawy wydadzą się komuś błahe — sądzę jednak, że nie należy ich lekceważyć. Styl form towarzyskich wiele mówi o kulturze danego społeczeństwa. Byłoby bardzo wskazane, zdaje mi się, aby styl ten w Polsce ustalić, uszlachetnić, a jednocześnie nadać mu pewną współczesną prostotę, która — podkreślam to z naciskiem — nie ma i nie powinna mieć nic wspólnego z prostactwem. Chodziłoby tylko o odrzucenie zbędnych już dziś i zanadto przestarzałych reweransów.

Oczekuję z zaciekawieniem wypowiedzenia się czytelniczek w tej sprawie.

Irena K.

W OCZEKIWANIU MILJONA

Już tylko niewiele dni dzieli nas od najbardziej emocjonującej dla każdego gracza loteryjnego chwili, gdy rozstrzygać się będą losy głównej wygranej czwartej klasy — miljona złotych. Tymczasem zaś każdy dzień przynosi nam wiadomości o wyjściu z koła większych lub średnich wygranych, które poważnie zasilają przedstawicieli najrozmaitszych sfer społecznych w licznych miejscowościach kraju.

Tak więc wśród właścicieli n-ru 163529, na który padła jedna ze stutysięcznych wygranych znajdujemy p. p. Orlikowską, urzędniczkę prywatną z Warszawy, M. Szynwalda z Łodzi (Północna 15), pracownika w fabryce czekolady, J. W. kupca i Stefana S. rzemieślnika. Drugiemi stoma tysiącami podzielili się dwaj robotnicy i dwie urzędniczki, wszyscy zamieszkali w Bielsku na Śląsku Cieszyńskim, do nich bowiem należał nr. 194977.

Jak wiadomo, w czwartej klasie trzydziestej szóstej Loterii Państwowej wprowadzono nowe cztery wygrane po siedemdziesiąt pięć tysięcy złotych każda. Pierwsza z nich padła na nr. 128.333, będący własnością mieszkańców Łodzi. Spory zasiłek otrzymali też mieszkańcy miasteczka Ryki w pow. Garwolińskm, gdyż podzielą się pięćdziesięcioma tysiącami, które padły na nr. 133927. Miasteczko to strawił niedawno pożar, wygrana więc gotówka przyda się mu bardzo.

W kole pozostało jeszcze — poza miljonem — niemało większych wygranych, szanse są więc jeszcze duże. Zresztą w październiku odbędzie się ciągnienie pierwszej klasy trzydziestej siódmej Loterii będzie więc można i wówczas próbować szczęścia.

CZY PANI WIE, ŻE...

...jest teraz w dobrym tonie nie wstydzić się swych zainteresowań gospodarskich, ani kulinarnych. Wytwarza się nawet pewien snobizm, polegający na rywalizacji, która ze znajomych pań wymyśli oryginalniejszą i smaczniejszą potrawę. Która ją ładniej przybierze i poda — to też jest dosyć ważne.

Te zainteresowania nie są bynajmniej, jakby się niewtajemniczonym zdawać mogło — dziedziną „czysto babską". Przeciwnie: mężczyźni — i to wcale nie kucharze — wykazują tu dużo pomysłowości i zamiłowania. Znakomity nasz rodak, stale zamieszkujący we Francji, świetny inżynier — górnik, wydał pod pseudonimem **„Alibab"** wspaniałą, bardzo zresztą drogą księgę przepisów kucharskich. Warszawski finansista — i znany smakosz — także pod pseudonimem **„E. Szeliga"** puścił w świat świetną książkę, zawierającą wiele trafnych uwag z dziedziny djetetyki, filozofji i estetyki stołu (stwórzmy te pojęcia, czemu nie?). Przepisy E. Szeligi (jego własnego pomysłu) — są istnemi poematami wykwintnego smaku. Nie koniec na tem: doskonały pisarz francuski, Paul Reboux, jest także zawołanym smakoszem i twórcą w tej dziedzinie. Dla przykładu podam paniom po jednym przepisie każdego z tych trzech wybitnych rywali Brillat-Savarina.

■

„Alibaba" — Łazanki ze szpinakiem.

Potrzeba: 600 gr. szpinaku, 400 gr. łazanek, 400 gr. soku mięsnego, 100 gr. parmezanu, 50 gr. masła, sól, pieprz.

Szpinak sparzyć obfitą ilością słonego wrzątku (15 gr. soli na litr wody) i odświeżyć go zimną wodą. Uwarzyć łazanki, wyłożyć je wymieszane ze szpinakiem, na szteingutowy półmisek, zalać sokiem, grzać na wolnym ogniu przez kwadrans, przysypać serem, obłożyć masłem, wstawić do pieca dla zapieczenia.

■

E. Szeliga. — Kotlety cielęce przybrane.

Potrzebne materjały: 1,2 kg. górki cielęcej, jeden móżdżek cielęcy, 100 gr. szynki wędzonej, 100 gr. ozoru wędzonego, 80 gr. sera szwajcarskiego, 60 gr. masła, sól, pieprz.

Górkę podzielić na kotlety, usmażyć je na maśle. Wędliny posiekać, móżdżek obrać, sparzyć, posiekać, wymieszać z wędlinami, nałożyć warstwę tej masy na kotlety, posypać serem, wstawić do pieca do zapieczenia. Podać z kartoflami z pary.

Zwykła, codzienna potrawa zmienia się w tej kombinacji w bardzo wykwintne danie.

■

Paul Reboux. — Sałata z chryzantemów.

(Bardzo na czasie... Poetyczne danie, jako, że komponował je literat).

Potrzeba: kilkanaście chryzantemów, 400 gr. kartofli, 200 gr. spodów karczochów, 50 gr. korniszonów z octu, 4 jaja na twardo, szczypta szafranu, oliwa, ocet, pieprz, sól.

Listki kwiatów oberwać, sparzyć ukropem, zakwaszonym octem, obsuszyć w serwecie. Przyrządzić sałatę z gotowanych kartofli, spodów karczochów i korniszonów, wymieszać z liśćmi chryzantem, przybrać pokrajanemi na ćwiartki jajami (zarezerwować dwa żółtka). Przyrządzić winegretkę z oliwy, octu, soli, pieprzu i szafranu, wetrzeć w nią 2 zarezerwowane żółtka. Winegretką tą zaprawić sałatę.

Nikt w Warszawie napewno jeszcze takiej sałaty nie robił i nie podawał — radzę spróbować, bo jest napewno doskonała — choć niebardzo ekonomiczna, przyznać muszę. (Jako, że karczochy i chryzantemy nie codzień się u nas jada...).

■

... kuchnia żydowska obfituje w smaczne przepisy — zwłaszcza jeżeli chodzi o ciasta i słodycze. W dziale mięsiw, zup i sosów jest jak na nasz smak zbyt przeładowana cebulą i czosnkiem. Ale np. ciasteczka, tradycyjnie wypiekane przez kobiety żydowskie w Alzacji, są pyszne. Może pani sprobuje.

Ciasteczka cynamonowe: zagnieść ciasto z 30 deka mąki, jednego jajka, piętnastu deka cukru pudru, piętnastu deka najlepszego masła trochę przygrzanego, aby było miękkie. Osolić szczyptą soli. Wyrobiwszy to ciasto, rozwałkować je na palec grubości na stolnicy, wysypanej uprzednio mąką. Pokrajać ciasto na kwadraciki, układać na wysmarowanej masłem blasze. Wypędzlować po wierzchu każde ciastko mlekiem, posypać posiekanemi migdałami i cukrem z cynamonem. Wstawić na krótko do dobrze ciepłego pieca.

Dama Pikowa.

ŚWIAT TEATRU


Fertner, Gellówna i Wierzejska.

TEATR LETNI: Jubileusz Mistrza. Krotochwila W. Rapackiego.

Kulisy i życie aktora, to tematy, które zawsze pasjonują publiczność. Zajrzenie pod podszewkę kostjumu i maski, to pragnienie gorące i niedyskretne 90% widowni teatralnej.

Jak to tam jest? Czy ona płacze prawdziwemi łzami? Czy nasz amant w domu jest uprzejmy i serdeczny? Czy „pierwsza naiwna" zawsze tak szczebiocze, a „czarny charakter" każdego pogrąża, kto się doń zbliży. Ileż zadr ciekawości tkwi w spojrzeniach, myślach tysięcy widzów. Robić teatr w teatrze, to połowa powodzenia uzyskana na kredyt.

Wincenty Rapacki w swej krotochwili jubileuszowej skonstruował satyrę na najuroczystszy dzień w życiu aktora — na dzień jubileuszu. Temat dobry, aktualność „materji" więcej niż gorąca, ale wykonanie aktorskie nazbyt familijne. Zapewne aktorzy mieli w sztuce Rapackiego wiele rozweselających „dla nich" sytuacji. Zbyt wiele było właśnie takich sytuacji dla „wtajemniczonych"; ich to mogło bawić, dla publiczności było to nazbyt obojętne.

Jeśli więc sytuacyjnie krotochwila Rapackiego niezawsze chybiała, jeśli szereg postaci był fotograficznie dokładny, to jednak suma dowcipu i wesołości włożonej na trzy akty nie wystarczyła.

Postać kabotyna-jubilata naszkicowana umiejętnie utrzymywała się w szacie satyry bardzo wątle. Zagrana groteskowo dawała się ratować, ale to wszystko. Parę typów drugoplanowych — nieco à la Bałucki czy Kostrzewski podpatrzył autor zabawnie, ale to wszystko nie zastąpiło prawdziwego dowcipu, na który ciągle oczekiwaliśmy.

Parę kawałów, parę figur, niezłe założenie i kilka zręcznych sytuacyj, to nie wystarcza na dobrą, trzyaktową krotochwilę. Jej satyra była zbyt w pantoflach, nazbyt robiła wrażenie przygadywania teatralnego dziadunia, czy wujcia. Jeśli jednak mianoby nam dać zamiast ostatniej premjery w Letnim jeszcze jednego Bussa Feketynu podpartego, to już lepiej, że polski autor dał co mógł i, że tantjema autorska pozostanie w kraju.

Grano „Jubileusz Mistrza" b. poprawnie.

Tadeusz Frenkiel nienazbyt szarżował i dał poprawną groteskę „Mistrza"; Fertner jeszcze raz ukazał swą bezpośrednią, wybuchową jowialność; Gellówna jak zawsze dobra. Nowa siła p. Tiche, bardzo naturalna, prosta, dobrze mówiąca i pełna wdzięku, jest więcej niż dobrym nabytkiem podzielonego Zjednoczenia Teatrów T. K. K. T. Daczyński, Wierzejska i wszyscy inni ruchliwi i staranni.

L.


Frenkiel, Wierzejska, Gellówna.

PREMJERA W CYRULIKU
KARJERA ALFA OMEGI

Warto było, żeby Alfa Omega zrobił karjerę, skoro przyczyniła się ona do takiej racy dowcipu jaką wystrzeliła raguza na Kredytowej po powrocie jej personelu z wakacyjnych ferji!

Z ferji, czy prerji, polskich lasów, czy łąk, morza czy gór, święta gorejącego krzaku, czy kwitnącej paproci wrócili cyrulikowicze niewiadomo, ale te wakacje dobrze im zrobiły.

Hemar, Tuwim i Dymsza — to zasadnicze trio wodewilu, otwierającego sezon tegoroczny, funkcjonowali świetnie.

Sam pomysł jest doskonały. Satyra i komiczne ujęcie przywar kogoś bardzo znanego, to jeden z atutów kabaretu zagranicznego. Każda piosenka, każda rewja paryska roi się od takich motywów.

Tam nikt się nie obraża.

Przeciwnie.

Wielu ludzi jest zadowolonych nawet za żarty, nawet za wykpiwanie. Tam wiedzą, że jest to objaw wyróżnienia. Wiedzą, że milczy się tylko o miernotach. Każdy człowiek ma swe przywary, śmiesznostki. Wyśmianie ich, wyśmianie dowcipne może być zabawą i dla... poszkodowanego jeśli ma poczucie humoru. Słynny śpiewak Alf Omega zrobił w Cyruliku taką samą niemal karjerę, jak w życiu. A że przytem dał pole, do obrobienia wielu poważnych przywar ... dnia codziennego, więc śmiech, zabawa i oklaski są najlepszym wyrazem wdzięczności publiczności dla tych, co stworzyli Alfa Omegę.



Opowiadanie treści poszczególnych scen, byłoby niecelowe, bo od pierwszej: w „urzędzie państwowej obserwacji lotu ptaków", gdzie wszystko jest idealnie w porządku o 8-ej rano, by się ... rozsznurować po tych godzinach ogniowej próby, do sceny przed hotelem, gdzie Omega szaleje w śpiewie na dachu, sleepingu, balkonie, latarki, wszystko jest doskonałe, tryskające humorem, dowcipem, werwą i melodyjnością.

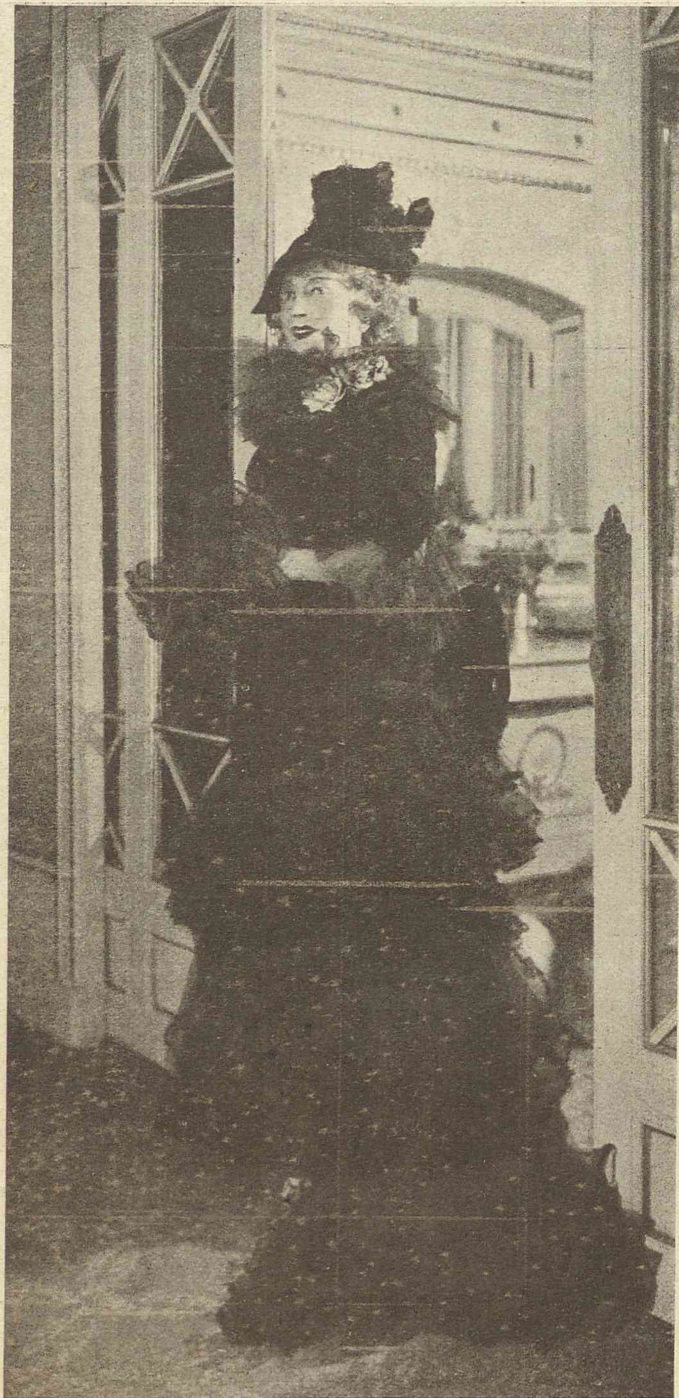
I w Paryżu, i w Pergolezji, i w gabinecie Ekscelencji w Warszawie — dowcip i złośliwa uciecha tańczą rozpętaną sarabandę, a że wodzirejem tego jest Dymsza, więc każda sytuacja, każdy tekst żyją, pienią się, wirują w piruecie, strzelają jak fajerwerk, co kaskadą różnobarwnych ogni olśniewa wzrok i słuch.

Doskonałe sceny, doskonałe teksty, świetne wykonanie tego wodewilu satyrycznego Hemara i Tuwima — oto jedno zdanie wystarczające za recenzję.

Dymsza był tym wodzem zabawy — sam bawił się, szalał, śpiewał, zwyciężał. Obok niego jak zawsze dobry w swych charakterystycznych groteskach Olsza, pełen monmartrowskiego wdzięku Rentgen, finezyjny Znicz, niezawodny Jarossy — oto pięć asów, nie pięć jokerów tej świetnej talji. Przy tej elicie tuż zaraz doskonale się zameldowali Minowicz i dwie jedynaczki Brochwiczówna i Górska, a wśród pozostałych, z dobrego starannego zespołu wyróżnił się dodatnio Bystrzyński, wykazując w dwuch różnych epizodach: profesora śpiewu i reżysera opery pomysłowość i staranność.

L. Ch.

CECILE SOREL
W WARSZAWIE



Cecile Sorel.

Wizyty teatru francuskiego w Warszawie stają się ostatnio częstsze. Jest to objaw bardzo dodatni. Porównanie z artystami innych narodów może być dla naszych artystów niesłychanie pożyteczne. Trudności wyjazdowe uniemożliwiają niemal stały kontakt z zagranicą, dobrze więc, że chociaż w tej formie można zastąpić formułkę „podróże kształcą". Aktorzy polscy naogół stoją na takim poziomie, że o stawianiu im wzorów lub polecaniu naśladownictwa nie może być mowy. Ale właśnie przy osiągnięciu wysokiego poziomu zawsze można zauważyć i skontrolować pewne właściwości innych artystów, różnice metody i stylu. Ta kontrola dla twórczych jednostek artystycznych jest zawsze celowa i pożyteczna. Tylko miernoty porównanie artystyczne sprowadzają do dyskusji na poziom: kto jest lepszy, a kto gorszy?

Szeroka publiczność polska tak, niestety, pozbawiona jest możności zaznajamiania się z kulturą artystyczną zachodu bezpośrednio, że patrząc na zespoły *przygodne*, zespoły turystyczne raczej, tworzone według b. dawnego wzoru teatrów francuskich (jedna gwiazda i gromadka mniej lub lepiej udanych satelitów) nie może mieć pełni walorów teatru francuskiego przed sobą. Nic więc dziwnego, że przeciętnie dobry zespół jest traktowany z umiarkowanym zachwytem.

Jeśli jednak spojrzymy na występy ostatnich zespołów francuskich pod kątem korzyści utylitarnej dla młodszej generacji artystów polskich i dla naszej publiczności, to musimy je oceniać jako wspaniałe lekcje dykcji i gestu.

Poszanowanie słowa w Polsce naogół jest słabe. Na codzień mówimy niedbale, niestarannie, często poprostu gminnie. Wzory ze sceny, niestety, niezawsze są kontrastem tej szkodliwej maniery. Polacy naogół jeszcze nie stworzyli codziennego kultu słowa, a już przeszli na żargon, żargon szmoncesowy, w którym często ukrywa się swe braki i rozdźwięki z gramatyką. Francuski kult słowa i deklamacji może być wyśmiewany, może być jego zaskrzepły klasycyzm nawet istotnie zabawny, ale *obok* niego jest dopiero ten niezrównany, cięty, giętki, ruchliwy argot paryski i jeszcze inna gwara bulwarów, a wreszcie powszechna umiejętność pięknego mówienia i wysławiania się.

Ten naturalny kult słowa, francuski kult mowy — był jedną z tradycji Komedji Francuskiej, która w ogólnym dorobku poszanowania języka i jego piękna odegrała wielką rolę, niezależnie od swego znaczenia artystycznego.

Ze scen polskich, niestety, niezawsze płynie ku nam piękna, szlachetna mowa, a dykcja jakże często pozostawia wiele do życzenia.

Nie będziemy sięgali do odległych wspomnień: Leszczyński, Rapacki, Żelazowski, Sosnowski, Frenkiel, Kotarbiński, Ładnowski, Wojdałowicz, Wostrowski, a jeśli spojrzymy nieco bliżej Barszczewska, Honorata Leszczyńska, Bakałowiczowa, Siemaszkowa, Wysocka, Solska, Trapszówny — żywe są jeszcze w naszej

pamięci ich szczyty karjery, ich dykcja, akcentowanie i poprostu wymowa.

A wśród tych, którzy dziś stanowią junaczy zastęp pięćdziesięciolatków znajdziemy też wielu i wiele, którzy mowę jako pierwszy oręż aktora poważają.

Wzorować się na Leszczyńskim, Jaraczu, Junoszy, Zelwerowiczu, Adwentowiczu, Ćwiklińskiej, Pancewiczowej, Węgrzynie to dla wielu... młodszych jest... za blisko.

Pod tym więc względem występy artystów francuskich mogą spełnić wielkie zadanie. W zespole towarzyszącym pani Sorel, byli zdolniejsi i mniej zdolni, były nawet miernoty denerwujące, *ale jak oni wszyscy mówili!* Mam wrażenie, że nawet osoby słabo rozumiejące po francusku mogły to docenić.

Inna sprawa, że młodzi artyści francuscy mają ułatwione zadanie.

Ile lat, ile razy do roku i z jakim poszanowaniem tradycji i stylu widzą oni Moliere'a na scenie paryskiej? Ile lat kultu dla klasyków francuskich otrzymuje w dziedzictwie każdy młody aktor francuski! Ile lat wpływu wielkiego gestu „Célimène nationale" wyposarza każdą młodą francuską adeptkę!

Czy mamy coś podobnego u nas?

Czy dziś tak expromptu wiele naszych młodych i zdolnych artystek i artystów potrafiłoby się wcielić w role fredrowskie.

Czy tradycja i styl fredrowski mają u nas choć 10% tego kultu, jaki mają Molière, Corneille. Racine we Francji?

Jeśli istnieją towarzystwa co krzewienie kultury teatralnej mają na celu, co mogą sobie pozwolić, aby wyrabiać dobry gust publiczności, aby ją wychowywać bez oglądania się tylko na rezultaty kasowe. to właśnie po to, aby obok wielkiego pana teatrów francuskich Moliere'a, istniał w Polsce nie kopciuszek rekwizytów dekoracyjnych, ale przynajmniej sceniczny „szlachcic na zagrodzie" — Fredro. się kultem słowa i oglądamy finezję i bogactwo gestu — to musimy z troską myśleć o młodszem pokoleniu aktorstwa polskiego, niewychowanego w tradycji i często dla kultu słowa mającego pobłażliwą nonszalancję.

Występy Cecile Sorel pozwoliły Warszawie podziwiać niezwykły kunszt tej artystki. To wszystko co dziś widzimy w jej grze jest właśnie najwspanialszym wyrazem pracy aktorskiej. Finezja gestu tej zalotnej Celimeny, czy awanturnicy Clorinde'y, to już dziś piękna architektura, pozwalająca jednak zapominać chwilami. że bóstwo zalotności — młodość — odleciało.

Świetne, przemyślane *opracowanie* postaci odtwarzanych pozostało. Charaktery bohaterek wystudjowane. lub kontynuowane przez Sorel wzorem tradycji są postawione wyraziście, a szczegóły pełne subtelności i niezwykłej techniki. Ta świetna technika zastąpiła wdzięk młodości. Jakże finezyjne były często jej „strzepnięcia" wachlarzem, jak wymowna zmiana intonacji głosu. Głosu, który nie należy do najlepszych atutów artystki. Nie porównywujmy Sorel dzisiejszej z tą z przed lat 20, czy 25-ciu. To, cośmy widzieli w czasie obecnej jej wizyty w Warszawie, to były wzory kunsztu gry i charakteryzacji aktorskiej. To były wzory dykcji wyrazistej i akcentowania rozumnego. Takie gesty jak niemal nieruchome kilkunastominutowe trzymania ramienia z wachlarzem wzniesio-

Te wszystkie uwagi muszą się zawsze nasuwać, przy każdym zetknięciu z teatrem francuskim w Warszawie.

Bo skoro oglądamy najlepsze, najwyrazistsze walory tradycji teatralnej, skoro rozkoszujemy nego w jednej pozycji, jak odrzucanie płaszcza, aby padając daleko od artystki na fotel *udrapował* się pięknie, tworząc harmonijny szczegół dekoracyjny, jak łzy i uśmiechy w l'Aventurière — to są gesty o poziomie artystów, których bulwarowa gwara paryska nazywa „les princes de la scène francaise".

Staranny zespół artystów towarzyszących Cecile Sorel — udatnie przyczynił się do wykazania najlepszych cech tradycji teatru francuskiego wogóle, a komedji francuskiej w szczególności.

L. Ch.



Cecile Sorel na stacji w Warszawie w towarzystwie dyr. Zw. Pr. Warszawy A. Jeżewskiego.

J. CORBELLE

ZIELONA WYSPA

(Nowela)

I

Do „Zielonej Wyspy“ trafiłem prawdopodobnie pod wrażeniem przeczytanej w gazecie wzmianki, że w czasie upałów należy wystrzegać się potraw mięsnych.

Była to jedna z wielu jarskich jadłodajni, skromnie ukrytych pod bokiem starszych siostrzyc, wielkich, mniej lub więcej eleganckich restauracyj.

W niedużej sali było bardzo czysto. Palenie było wzbronione. Jednak, jakiś ledwo dostrzegalny osad smutku leżał na małych stolikach, nakrytych białemi ceratkami, z karafkami napełnionemi prawdopodobnie ciepłą wodą.

Młode, nieładne kelnerki, ubrane jak pielęgniarki, roznosiły w idealnej ciszy talerze i potrawy.

Zatrzymując się na chwilę przy stoliku, szybko przyjmowały zamówienie i wracały do lady, za którą siedziała starsza niewiasta, o manierach damy klasowej.

Goście „Zielonej Wyspy“, również różnili się jakoś od gości innych restauracyj.

Kiedy pokonywując jakąś dziwną nieśmiałość zająłem miejsce w głębi sali przy ścianie, zauważyłem na prawo młodego człowieka w rozchełstanej koszuli, z opalonemi gołemi nogami. Miał długie, jasne włosy, które spadały na rozpięty kołnierz koszuli i rogowe okulary. Słowem typ, jakich wielu wędruje w dzień z workiem na plecach, a nocuje pod gołem niebem.

Tuż obok przytulił się chudy staruszek, który bardzo powoli — zapewne w myśl zaleceń lekarza — jadł kaszkę na mleku.

Nieco dalej, przy następnych stolikach, siedziało kilka pań w nieokreślonym wieku, lecz dość skromnych sukniach. Wszystkie one miały niewyraźne, jakby obrażone miny.

Jeszcze dalej, kilku młodych ludzi, może studentów i subjektów i wreszcie przy samem oknie, bardzo tęgi mężczyzna, prawdopodobnie cierpiący na otłuszczenie, a przeprowadzający wegetarjańską kurację.

Wspólną cechą wszystkich gości „Zielonej Wyspy“ była jakaś beznadziejna apatja, malująca się na ich twarzach, rozczarowanych całem otoczeniem. Powiedziałbym rozbitki życiowe, którym niedostępne były wszystkie przyjemności, pomimo sportowego wyglądu niektórych młodych ludzi i ich niewątpliwie miłości przyrody, powietrza i słońca.

W danej chwili jednak, było mi to wszystko całkiem obojętne.

Byłem głodny, a na stole przede mną leżał jadłospis, prezentujący cały szereg kuszących potraw.

Podeszła kelnerka i spojrzała na mnie z zaciekawieniem, odgadując we mnie nowicjusza. Śmiało zamówiłem jarską zupę, takież pieczyste i deser w postaci butelki piwa.

— Piwa nie trzymamy — odpowiedziała urażona panienka. Może sok cytrynowy lub jabłeczny? — Nie, wypiję kawę. — Kawę mamy bez kofeiny.

Nie pozostało mi nic innego, jak zamówić syfon wody sodowej. Po drugiej stronie ulicy mieściła się mała piwiarnia i tam postanowiłem wypić po obiedzie cały litr piwa.

Tymczasem na sali zrobiło się prawie ciasno. Przyszła cała rodzina, składająca się z męża, żony i trojga dzieci. Wszyscy z hałasem zasiedli przy stolikach, a dzieci natychmiast złapały za karafki z wodą. Widać było, że czują się tu jak w domu.

Mnie podali już kompot, miałem zamiar uregulować rachunek i wychodzić, gdy nagle stało się coś, co pokrzyżowało gruntownie moje plany.

Na salę weszła młoda dziewczyna w jasnej sukni i słomkowym kapeluszu. Na środku sali zatrzymała się, szukając swobodnego stolika.

Patrząc na nią, czułem, że coraz bardziej tracę pewność siebie.

Na pierwszy rzut oka, nieznajoma nie wyróżniała się niczem nadzwyczajnem. Średni wzrost, ciemno-kasztanowy kolor włosów, ładnie zaokrąglone kształty, wdzięk młodej panienki jeszcze zupełnie pewnej siebie, a jednak zdającej sobie sprawę, że spośród jej podobnych, należy się jej wcale niepoślednie miejsce.

Lecz, gdy spojrzała przypadkiem w moją stronę i zobaczyłem jej oczy, pełne ognia, jej niewielki, zgrabny nosek i usta czarującego dziecka, uświadomiłem sobie, że takie spotkania nie trafiają się często.

Dziewczyna obrzuciła wszystkich obecnych uważnem spojrzeniem i zajęła wolny stolik niedaleko ode mnie.

Nie potrafiłbym wytłomaczyć, co się ze mną w tej chwili działo. Gdy podeszła do mnie kelnerka, aby zainkasować należność, nie mogłem ruszyć się z miejsca. Czułem, że nogi przyrosły mi do podłogi. Widząc oczekującą minę kelnerki, dusząc się ze wzruszenia zamówiłem porcję lodów...

II.

Po zachowaniu się dziewczyny wobec kelnerki, zrozumiałem, że musi ona być stałym gościem „Zielonej Wyspy“. I rzeczywiście, gdy nazajutrz około ósmej wieczorem znalazłem się w jadłodajni, zastałem ją już na miejscu. Myśl, aby zawrzeć z nią znajomość przy wyjściu na ulicę, odrzuciłem kategorycznie. Należała ona niewątpliwie do dobrej rodziny i próba nawiązania z nią znajomości w tak banalny sposób, mogła mi tylko wszystko zepsuć. Rozumowałem, że stołując się codziennie w „Zielonej Wyspie“, wcze-

śniej, czy później znajdę okazję, aby jej się przedstawić.

W każdym razie, sam fakt, że stałem się namiętnym wegetarjaninem, powinien był zjednać mi jej przychylność. Od tego dnia począwszy, każdego wieczoru jadłem obiad w „Zielonej Wyspie".

Nie powiem, by jarskie menu mi odpowiadało. Zresztą proszę osądzić: zupa z marchwi, na drugie danie mikroskopijna porcja makaronu i na deser zsiadłe mleko... — to przecież nie obiad dla mężczyzny!

Lecz za to... Za to miałem to szczęście widzieć ją codziennie. Rozkoszowałem się jej nowemi toaletami i kapeluszami. Mogłem z wyrazu jej twarzy wnioskować w jakim jest humorze... Znałem nawet jej imię.

Na imię miała Żaklina — dość pospolite, jak na tak poetyczne zjawisko. Żaklina nie zwracała na mnie jednak najmniejszej uwagi. Przynajmniej tak udawała. Przychodziła codziennie punktualnie pięć po ósmej i wiodła krótką rozmowę z kelnerką. Tymczasem, jeśli siedziała wpobliżu mnie, mogłem rozkoszować się przez pewien czas jej profilem. Kiedy jednak podawali jej zupę z porów, a mnie rizotto z champignonów, mogłem na nią spozierać tylko ukradkiem.

Mówią, że ludzie zakochani tracą zwykle apetyt, a jarskie potrawy działają uspakajająco na zmysły. Twierdzenie to, na niczem nie jest oparte. Uczucie, jakie żywiłem dla Żakliny, było niewątpliwie miłością, lecz miłość ta — dziwna rzecz — nie odbierała mi wcale apetytu. Wręcz przeciwnie, ilekroć rozkoszowałem się widokiem Żakliny, zdawało mi się, że mógłbym spałaszować dwa obiady. Bardzo często nawet, jadłszy obiad w „Zielonej Wyspie" kładłem się spać głodny. Pozatem, jak stwierdziłem, wegetarjański wikt, któremu poddałem się dobrowolnie, nie miał zdaje się najmniejszego dobroczynnego działania na moje zmysły.

Ten głód właśnie, wespół z cierpieniami nieodwzajemnionej miłości, nie pozwalał mi nieraz zmrużyć oczu do świtu.

Pewnego dnia przyszła mi do głowy genjalna myśl: wieczorem, w drodze do „Zielonej Wyspy", mijając rzęsiście oświetloną wędliniarnię, wstąpiłem do środka i kupiłem pięć deko szynki. Po powrocie z „Zielonej Wyspy", wyciągnąłem z kieszeni palta paczuszkę z wędliną i zaspokoiłem męczący mię głód. Pamiętam, że krająć scyzorykiem delikatne, różowe mięso, pierwszy raz nie myślałem o Żaklinie. Ten eksperyment okazał się tak udanym, że odtąd, codziennie po obiedzie w „Zielonej Wyspie", jadłem jeszcze kolację w domu.

Mój romans z Żakliną, nie posuwał się jednak wcale naprzód. Moja ukochana nie zadawalała się już tem, że nie zwracała na mnie najmniejszej uwagi, lecz czasami patrzała na mnie takim wzrokiem, jakgdyby przed nią była pusta przestrzeń. Spewnością, musiała to być dziewczyna z zimnem, egoistycznem sercem, materjalistka i zarozumiała. I możliwe, że bywalcy jarskiej jadłodajni nietylko nie wzbudzali w niej sympatji, lecz wprost przeciwnie, ona uważała, że ci ludzie nie są godni jej uwagi.

III.

Tego krytycznego wieczoru całe otoczenie w „Zielonej Wyspie" działało mi dziwnie na nerwy. Z nieukrywaną niechęcią patrzyłem na młodego człowieka z gołą szyją i opalonemi nogami, na chudego staruszka, powoluśku jedzącego swą kaszkę na mleku. I niewiasty w skromnych sukniach z obrażonemi minami i gruby mężczyzna spod okna, dzielali na mnie w ten sposób, że gotów byłem wskoczyć na stół i zapiać jak kogut, lub zaszczekać spod stołu.

Gdy przy moim stoliku zjawiła się kelnerka i popatrzyła na mnie baraniemi oczami, zrobiłem kwaśną minę i zamówiłem... rozbeef po angielsku! Kelnerka drgnęła z przerażenia i poszła, przynosząc mi po chwili gotowany kartofel z masłem śmietankowem.

Wreszcie przyszła Żaklina w nowej sukni i nowym kapeluszu. Przeszła obok mnie i zajęła tuż przy mnie wolny stolik. Zacząłem się kręcić na krześle i spoglądając ukradkiem na jej zachwycający karczek, rozkazywałem jej w duchu, aby się odwróciła.

Ona, prawdopodobnie bardzo się śpieszyła, gdyż kazała kelnerce podawać jak najprędzej obiad.

Skupiłem całą siłę woli na jednem słowie „odwróć się"! Lecz nic nie pomagało; jadła spokojnie swoją zupę. Jeszcze raz spróbowałem zmusić ją tą drogą do odwrócenia się. Bez skutku!

Więc tak, nie odwrócisz się! Spróbujemy zatem innego, bardziej radykalnego środka!

Wyjąłem z bocznej kieszeni paczkę z zimnym befsztykiem, rozpakowałem ją, położyłem mięso na talerzu i zacząłem jeść. Początkowo nikt nie zauważył mego postępku, wkrótce jednak na sali zapanowała grobowa cisza i wszystkie oczy skierowały się w moją stronę... Od lady oddzieliła się zażywna figura „damy klasowej" i popłynęła w moim kierunku.

W miarę, jak zbliżała się do mnie, targało mną dziwne uczucie. Tak, jak-

by zbliżało się do mnie samo przeznaczenie...

W tej chwili stał się cud... Żaklina odwróciła się w moją stronę i spojrzała na mnie z zaciekawieniem, ledwo powstrzymując uśmiech.

Obok mnie zagrzmiał srogi głos: — naszym gościom niewolno przynosić żywności z sobą. Zechce pan opuścić restaurację.

Szybko uregulowałem rachunek i wyszedłem, odprowadzany wrogiemi spojrzeniami. Spewnością, to samo odczuwałby rycerz, który przekroczywszy surowe przepisy jakiegoś zakonu, został sromotnie wydalony z kapituły. Przez pewien czas wałęsałem się po ulicy, wyrzucając sobie, że przez głupi postępek straciłem wszelkie szanse poznania Żakliny.

Automatycznie prawie, zszedłem do podziemnej kolei. Przy kasie natknąłem się na... Żaklinę. Kupowała właśnie bilet drugiej klasy.

Zrozumiałem, że nadszedł moment decydujący. Teraz, albo nigdy. Gdy dziewczyna skierowała się na peron, rzuciłem się za nią.

Przepraszam Panią bardzo — rzekłem — lecz zdaje mi się, że myśmy się już gdzieś spotkali...

Żaklina odwróciła się w półobrocie. Twarz jej była surowa i zdziwiona.

Panie — odrzekła — niech mię Pan zostawi w spokoju. Ja Pana nie znam...

IV.

Prawdopodobnie przypadek odgrywa w naszem życiu rolę większą, niż nam się zdaje. Po tem wszystkiem, głupotą byłoby spodziewać się szczęśliwego zakończenia tej całej historji. W „Zielonej Wyspie" spaliłem za sobą wszystkie mosty, Żaklina zaś, dała mi do zrozumienia w sposób bardzo przekonywujący, że nie chce mię znać.

Nie pozostało mi zatem nic innego, jak tylko zastrzelić się lub szukać drugiej Żakliny.

Nie uczyniłem ani jednego, ani drugiego. Wierzyłem, że przeznaczenie, które sprzyja zakochanym i mnie może pomóc. I nie myliłem się.

W parę dni później, po biurze, udałem się do sklepu, aby kupić sobie szelki. Trafiłem do dużego magazynu, na kilka minut przed zamknięciem. Przy ladzie zauważyłem ekspedjentkę, która schyliwszy się, porządkowała coś na dolnej półce. Kark jej, wydał mi się dziwnie znajomym. W chwilę później, gdy dziewczyna wyprostowała się, poczułem, że za chwilę pęknie mi z radości serce. Za ladą stała Żaklina!...

Żaklina spoczątku bardzo się speszyła, lecz prędko opanowała się i zadała mi stereotypowe pytanie: Pan sobie życzy?

Proszę mi dać parę szelek — powiedziałem, nie przestając wpatrywać się w cudne oczy, a potem, bojąc się, że urocze zjawisko zniknie — dodałem— nie, nie parę, lecz dwie, albo proszę mi dać trzy pary szelek!...

Widząc, że Żaklina przebierając cienkiemi palcami w stosie szelek coraz bardziej miesza się i czerwieni, wyszeptałem:

— Droga Żaklino!... Chodźmy na obiad razem... Tylko nie do „Zielonej Wyspy"... Czekam na Panią na rogu... Tylko nie „Zielona Wyspa"... Ża-klino!... nie odmawiaj.

Spojrzała na mnie zdziwionym wzrokiem i po krótkim namyśle skinęła głową...

W kwadrans później siedzieliśmy w dużej restauracji na Placu Clichy i jedliśmy krwawy befsztyk. Potem był: chateaubriand, kurczaki, deser z odpowiednią porcją wina.

Żaklina była we wspaniałym humorze i bardzo łaskawa dla mnie.

Wiesz — mówiła — gdy podali już kawę, ja wcale nie jestem wegetarjanką. „Zielona Wyspa" należy do mojej ciotki, która za obiady nic odemnie nie bierze. Dzięki temu, stołując się tam, mogę się przyzwoicie ubierać...

Widzisz, jakie to proste?...

Przekład **J. Ł.**

„OGŁOSZENIE PRASOWE"

Ukazał się na półkach księgarskich tom IV Wydawnictw Związku Wydawców, poświęcony sprawom ogłoszeniowym p. t. „Ogłoszenie Prasowe". Autorem książki jest p. Stanisław Zenon Zakrzewski, prezes Polskiego Związku Reklamowego, członek rady administracyjnej Międzynarodowego Związku Reklamowego, profesor reklamy w Wyższej Szkole Dziennikarskiej i dyrektor działu ogłoszeń Polskiej Agencji Telegraficznej.

Nowa praca p. St. Z. Zakrzewskiego, autora szeregu prac publicystycznych poświęconych zagadnieniom reklamy, jest wynikiem długoletnich studjów teoretycznych i pratkycznych doświadczeń jej autora.

Z uwagi zarówno na osobę autora jak i na ciekawe ujęcie tematu nowa książka wywoła bezwątpienia żywe zainteresowanie wszystkich tych, którzy rozumieją znaczenie reklamy prasowej dla życia gospodarczego.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA: Warszawa, ul. Szpitalna 12. Telefon 5-04-00. Konto w P.K.O. Nr. 3755
Administracja otwarta codziennie, z wyjątkiem świąt i niedziel od godziny 11 do 3 pp.
Redakcja od godziny 11 — 2 pp. Redaktor naczelny przyjmuje w czwartki od godz. 11 — 1 pp., tylko po uprzedniem telefonicznem porozumieniu z sekretarjatem. Telefon 2-10-87. Rękopisów niezamówionych redakcja nie zwraca



Lionel Barrymore jako „Czarownica z Timbuktu" wyprobowuje „siły czarodziejskie" na wytresowanych doskonale gołębiach.

Olśniewające toalety Gladys Swarthout

W filmie „Walc szampański" piękna gwiazda śpiewacza, Gladys Swarthout, olśni kinomanki doborem wytwornych i bogatych tualet jesiennych. Szczególnie jeden kostjum wieczorowy wywoła niezawodnie powszechną zazdrość lecz niewiele naśladownictw, gdyż rzadko kto będzie sobie mógł pozwolić na niezmiernie kosztowny materjał, z którego go wykonano. Materjał ten wybrał słynny faiseur Paramountu, Travis Banton. Jest to złoty brokat o drobniutkim gobelinowym deseniu o perskich motywach. Z brokatu tego zrobiono dla pięknej śpiewaczki obcisły żakiecik wieczorowy. Materjał ten jest tak kosztowny i rzadki, że firma Bianchini w Paryżu, która go utkała, zwykła tego rodzaju tkaniny dostarczać tylko wielkim sklepom jubilerskim na Rue de la Paix, które wykonują z nich puderniczki i woreczki balowe. Do tego żakiecika miss Swarthout nosić będzie bardzo szeroką spódnicę z zielono-złotej tafty i woreczek z tego samego materjału, co i żakiecik. Tualeta ta jest jedną z najkosztowniejszych w garderobach gwiazd filmowych.

„Pani minister tańczy..."

Pierwsza polska komedja w stylu zagranicznym.

Wytwórnia „Libkow-film przystąpiła do produkcji nowego filmu p. t. „Pani minister tańczy..." Scenarjusz tego filmu został opracowany przez Anatola Sterna i Allana Turskiego. Reżyserem filmu „Pani minister tańczy..." będzie Juljusz Gardan, a muzykę komponuje Henryk Wars. W obsadzie tego filmu znajdujemy następujące nazwiska: Tola Mankiewiczówna, Aleksander Żabczyński, Mieczysława Ćwiklińska, Józef Orwid, Michał Znicz, Stanisław Sielański i in.

Kanarek powraca na ekran

„Szatan", śliczny kanarek, którego wszyscy zamiłowani kinomani pamiętają z filmu Cecila B. de Mille'a „Madame Satan" powraca na ekran!

„Szatan", który z takim wdziękiem odegrał scenę kąpieli w dziele de Mille'a, był od szeregu lat emerytem, jak większość gołębi i pawi, które niejednokrotnie oglądano w filmach de Mille'a. Obecnie „Szatan" otrzymał rólkę w najnowszym obrazie de Mille'a: „The Plainsman" i zobaczymy go w jednej z zabawnych scen z Gary Cooperem.

„Mayerling" **Światowid**

Modne jest obecnie odbrązowianie dawnych wielkości. Historycy z pasją, często z zajadłością studjują, badają, odkrywają intymne sprawy wielkich monarchów. Przyczynami fizjologicznemi starają się uzasadnić te czy inne posunięcia wielkich ludzi. Starannie odsłaniają najintymniejsze ich przeżycia, przyczem w tej pasji jest tyle brutalności, że zdaje się być ona aż nienawiścią dorobkiewiczów czy karjerowiczów do istotnej sławy.

Tragedja w Mayerlingu, dramat rodziny Habsburgów miał wszelkie dane, aby zajadli badacze odarli go z poezji i rzucili na pastwę tłumów. Należy się zatem wielkie uznanie realizatorom filmu, że opierając się na świetnej monografji Claude Anet'a, nie ulegli modnym dziś wpływom, ale ukazali dramat dwojga młodych serc z dużą delikatnością w stosunku do bohaterów — więcej nawet — z pewną apoteozą wielkiej miłości.

Film na tem bezwzględnie zyskuje. Tło akcji, środowisko, epokę odtworzono zgodnie z rzeczywistością, w mistrzowski często sposób akcentując charakterystyczne szczegóły, uwydatniając cesarsko-policyjne oblicze reżimu.

Charakteryzacja aktorów, kostjumy, dekoracje przemyślane rzetelnie bez amerykańskiej blagi i bez zbytecznego przepychu. Role od najmniejszych do głównych obsadzono trafnie i zagrano bez zarzutu; tempo właściwe, nastroje odpowiednie, scenarjusz zwarty i logicznie przeprowadzony.

Gra pary głównych bohaterów zasługuje na uczciwą pochwałę. Charles Boyer (Arcyksiążę Rudolf von Habsburg) dał przejmującą w swej prostocie sylwetkę smutnego arcyksięcia. Jego zmienność nastrojów — krańcowa apatja czy melancholja aż do nieprzytomnych pijackich wybuchów znalazła świetnego odtwórcę. Przy znakomitej charakteryzacji i wielkiej intuicji aktorskiej prostota Charles Boyer święciła zasłużony tryumf.

Danielle Darrieux jako Marja Vetsera wniosła urok świeżości i wiośnianej dziewczęcości. Jej delikatna uroda, wdzięk i naiwność wraz ze znakomitem zrozumieniem i odczuciem roli zjednała jej sympatję widowni. Piękna baronówna wzruszała szlachetnością uczuć, smutnym uśmiechem koiła rozedrgane nerwy nieszczęśliwego następcy tronu, bezinteresownością i głęboką miłością podbiła mu serce.

Staranne opracowanie muzyczne, francuska subtelność, beznaganna gra i wspaniała dykcja aktorów przy francuskiej wersji winna ściągnąć na „Mayerling" liczne rzesze publiczności.

Nadprogram idzie ciekawy i aktualny dodatek PAT-a oraz miła groteska kolorowa Paramountu. Nie można również pominąć milczeniem krótkometrażówki Szczepanika „Zlot harcerski w Spale w lecie 1935 r.". Zupełnie niezrozumiałe wydaje się „raczenie" nas dziwnie nieinteresującym i nieaktualnym dodatkiem, który na domiar złego odznacza się fatalnemi zdjęciami. Czyż rzeczywiście nie można znaleźć czegoś nowszego i ciekawszego?

J.

Będziemy palić nowe papierosy „LOT".

W najbliższym czasie, jak się dowiadujemy od Dyrekcji Polskiego Monopolu Tytoniowego, ukazać się ma w sprzedaży nowy gatunek papierosów pod nazwą „Lot".

Będą to papierosy z ustnikiem, w cenie 1.20 zł. za 20 sztuk.



Claudette Colbert świetna gwiazda Paramountu.
Fot. Paramount

REDAKTOR: L. CHRZANOWSKI. Wydawca: „ŚWIAT" Spółka Wydawnicza z o. o. Druk „Polska Zjednoczona", Warszawa